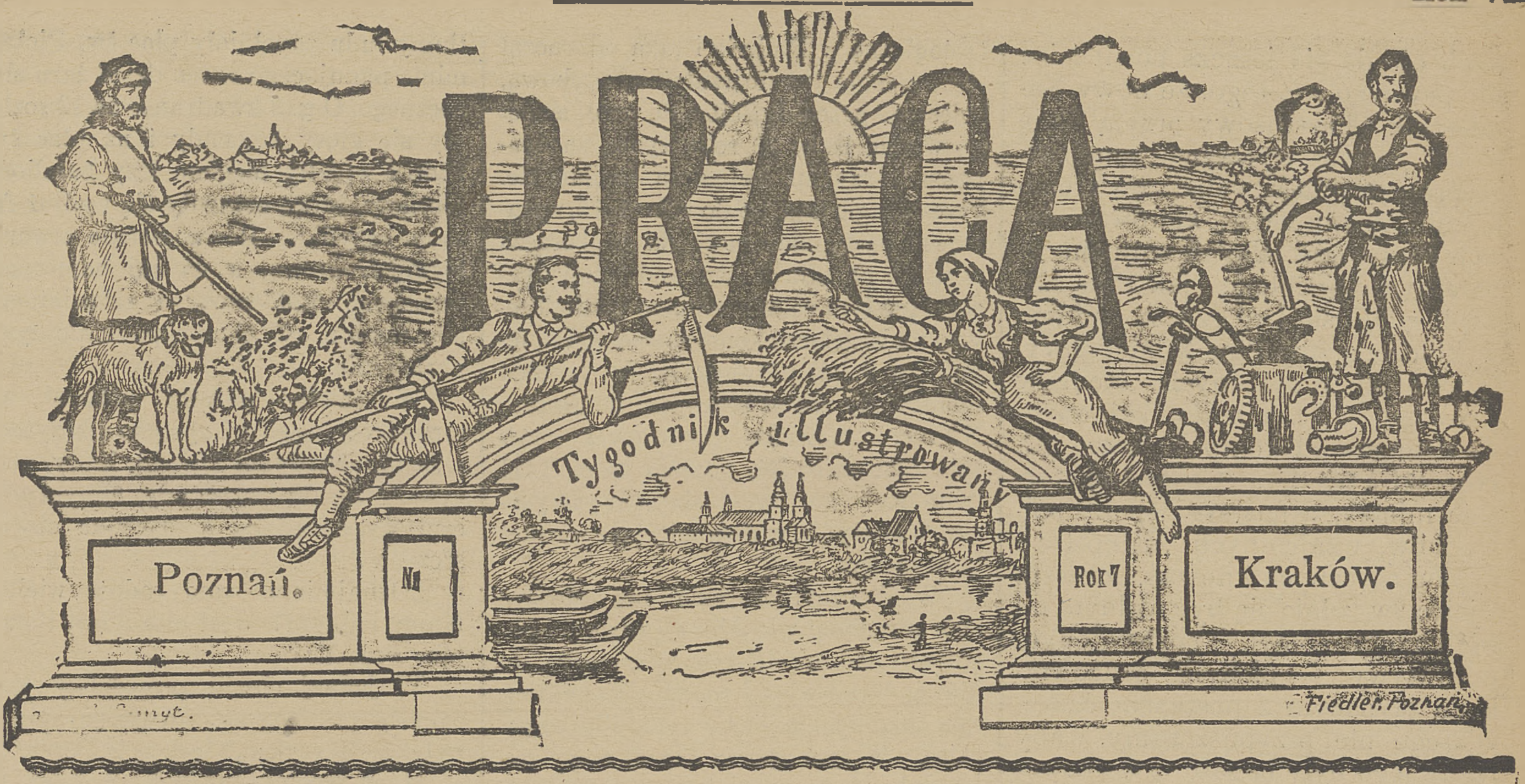
Nr. 32 Poznań, dnia 9-go sierpnia 1903. Rok VII



Habemus Papam.

Mamy papieża! — Piusa Dziesiątego.

Ziściło się orzeczenie, że „kto jako kandydat na papieża wstępuje w conclave, wychodzi z niego jako — kardynał.“ Żaden z kardynałów, w którym upatrywano przyszłego Ojca św., nie uzyskał dwóch trzecich większości, ani Oreglia, ani Vanutelli, ani Gotti, ani nawet potężny Rampolla. I tak dopiero czwartego dnia, w siódmem głosowaniu wyszedł zwycięzcą na drugim planie stojący kandydat kompromisowy — kardynał Giuseppe (Józef) Sarto, patryarcha wenecki.

Z politycznego punktu widzenia Pius X. jest niezapisaną kartą. Żyjąc we Wenecyi, zdala od wirów polityki watykańskiej stał na uboczu i unikał sposobności do zdradzenia swych zapatrywań i tendencyi. Mimo to posiada opinię męża liberalnych pojęć, głównie bodaj z tej przyczyny, że w czasie wizyty króla Humberta w Wenecyi złożył mu wizytę, aczkolwiek wiedział, iż za krok ten spotka go nagana ze strony sfer watykańskich.

Na mocy tego można przypuszczać, że wybór kardynała Sarto szczególnie w Kwirynale i liberalnych sferach włoskich będzie przyjęty z niezmiernem zadowoleniem. Po za granicami Włoszech zaś wieść o jego elekcyi nie wywoła entuzyazmu, lecz nigdzie też z wyjątkiem może Francyi nie zachmurzy czoła, dla tego że kard. Sarto, **nie starając się dotąd odgrywać roli**, jest bezbarwnym i nieznanym. Według jednych źródeł dzisiejszy Pius X oraz kardynał di Pietro mieli być protegowani przez kard. Rampollę, a więc partyę francuzką, natomiast niektóre dzienniki niemieckie zapewniają, że kard. Sarto nie był kandydatem Rampolliego, lecz kompromisowym kandydatem wysuniętym przez obóz Vanutellego. Z tej sprzeczności zdań wynika, że stał on rzeczywiście pomiędzy jedną, a drugą grupą kardynałów, a wybór jego jest *zwycięztwem umiarkowanych.*

W tej chwili, gdy to piszemy, nie posiadamy jeszcze wiadomości o przebiegu conclave i pierwszych sześciu głosowaniach. Wieść jednak niesie, że zrazu losy ważyły się pomiędzy kardynałami Rampollą a Vanutellim a następnie, gdy żaden z nich nie uzyskał przepisanej większości, grupa Rampolliego stawiła kandydaturę di Pietra. Ale widocznie austro-niemieckie skrzydło nie dopuściło do zwycięztwa zwolennika polityki Rampolliego i ostatecznie wyszedł z urny wyborczej mało znany, umiarkowany patryarcha wenecki.

Zapewne przemawiała za nim niemało ta okoliczność, że Leon XIII darzył go wielkiem zaufaniem i miał o jego zdolnościach wysokie wyobrażenie. Krótko bowiem przed swym zgonem, w czasie audyencyi, wyraził się do niego: „posiadasz wielką mądrość i energię. Męża z takiemi przymiotami może Kościół potrzebować.“

W przeciwstawieniu do Piusa IX i Leona XIII, którzy pochodzili z rodzin arystokratycznych, Pius X wyszedł z skromnej, nie utytułowanej familii, a świetną karyerę zawdzięczał niepoślednim zdolnościom i sympatycznemu obejściu. Wybierając go zatem na głowę Kościoła, kolegium zdradziło poniekąd demokratyczne tendencye i fakt ten w naszych demokratycznych czasach zrobi dodatnie wrażenie.

Jaką będzie polityka Piusa X? Oto pytanie, na jakie obecnie usiłują odpowiedzieć gazety, ale na podstawie tak bardzo skąpych da-

nych nie da się jeszcze powiedzieć nic pewnego. Z tego, że nowy Namiestnik Chrystusowy przyjął imię Piusa, można wyciągnąć wniosek, że pragnął przez to dać do zrozumienia, iż zamierza kierować sterem spraw kościelnych w duchu liberalnym podobnie jak Pius IX. Atoli zdaje się być rzeczą całkiem wykluczoną, aby Pius X miał chwytać się tak radykalnych środków i okazać się tak mało skłonnym do ustępstw i kompromisów jak rycerski Pius IX. Czasy bohaterskie minęły, a nastała epoka półśrodków, wzajemnych ustępstw i dyplomatycznych knowań. Zresztą Ojciec św. zdaje się być wolnym od wielkich ambicyi, pozbawionym inicyatywy — cichym pracownikiem płynącym z postępem czasu. Dlatego nie przypuszczamy, aby rządy jego były bogate w wstrząsające wypadki i zaznaczyły się znacznym przewrotem w stosunkach Watykanu do mocarstw. Wstępuje on na tron papiezki z gałązką oliwną, z łagodnym uśmiechem na licach zdaje się zapowiadać ludom *pokój*.....

Dla nas Polaków imie Piusa brzmi mile. Żywimy też nadzieję, że przejmie się tak serdecznie smutną dolą polskich katolików jak jego poprzednik tegoż imienia, że łagodność i skromność jego stanie się wzorem dla duchowieństwa, że ambona i konfesyonał przestaną być narzędziem do celów politycznych, że skończą się nadużycia X. kard. Koppa i jego licznych naśladowców a głos polskich katolików ze wszystkich zaborów znajdzie posłuch w sercu Piusa X-go.

W tej nadziei łączymy się z tłumem rzymskim, który witał Ojca św. przed kościołem św. Piotra, i podnosimy z głębi serca okrzyk: E viva, il papa — re, *niech żyje Pius Dziesiąty.*

Quis.

Pius X.

O życiu Ojca św. niewiele tylko mamy dotychczas wiadomości. Bo też jego życie płynęło cicho, zdala od wiru wielkiej polityki, przy pracy duszpasterskiej. Józef Sarto urodził się w ubogiej chacie wiejskiej, jako syn skromnego wieśniaka, w Riezie kolo Treviso, dnia 2 czerwca 1838 r. Wstąpiwszy w bardzo młodym wieku do seminaryum duchownego w Treviso, ukończył nauki teologiczne w Padwie i taką odznaczał się wcześnie już dojrzałością duchową, iż jeszcze przed dojściem do przepisanego wieku, bo w 20 roku życia, za dyspensą otrzymał święcenia kapłańskie. Przez długie lata, bo do roku 1875, sprawował następnie obowiązki proboszcza w wielu parafiach swej rodzinnej dyecezyi; w tym roku powołano go do Treviso na kanclerza konsystorza biskupiego, a w 9 lat później, bo w r. 1884 mianowany został biskupem w Mantui. Na tem stanowisku pozostawał znów przez lat dziewięć, poczem Leon XIII mianował go arcybiskupem-patryarchą Wenecyi, a w dwa miesiące później kardynałem.

W Wenecyi przyszło mu stoczyć spór z rządem włoskim o prawo do patronatu nad archidyecezyą wenecką, do którego rząd włoski rościł sobie pretensye, jako spadkobierca republiki weneckiej. W tym sporze okazał nowy patryarcha dużo energii, ale także taktu i rozwagi i jego też było głównie zasługą, że spór skończył się zwycięstwem strony kościelnej.

Poza tą sprawą nie zajmował się polityką. Nie zasłynął także w kościelnym świecie naukowym, bo całą działalność swoją poświęcił wyłącznie duszpasterstwu, trosce o duchowe dobro swych dyecezyan. I w tej dziedzinie pozyskał sobie ogólne uznanie i szczerą a wielką miłość u ludu. Skromny w obejściu, pełen słodyczy, zdobywał sobie szacunek i sympatyę wszystkich, z którymi stykał się osobiście. I stąd poszło, że mimo walki z rządem utrzymywał znośne stosunki z jego przedstawicielami.

Sredniego wzrostu, niezwykle miłej i ujmującej powierzchowności, z zupełnie już siwym choć jeszcze bujnym dość włosem, łączy w swym charakterze powagę z żywością południowca. Przysłowiową wprost stała się jego prawdomówność i wierność w stosunkach przyjacielskich. Żyjąc zdala od Rzymu, nie posiadał osobistych nieprzyjaciół w hierarchii kościelnej, i tem się też tłomaczy, że wybór padł na niego, gdy na innych, może wybitniejszych kandydatów, nie można się było zgodzić.

Gdy nazwisko jego pojawiło się na liście papabilów, pisano o nim, że ewentualne rządy jego byłyby rządami pokoju i pojednania, chociaż stanowczość, jaką okazał w sporze z rządem o prawa Kościoła, zapowiadać się zdaje, że w polityce swej wobec Włoch nie zejdzie ze stanowiska Leona XIII.

Dzień jego wyboru pokazał znowu, że Rzym mimo świeckiego poloru dzisiejszego jest zawsze jeszcze Rzymem Papieży. Już od godziny 10 ogromne tłumy ludu zapełniały plac św. Piotra, mimo panującego w ten dzień żaru słonecznego. O g. 3 kwadranse na 12 rozległy się głosy komendy i na plac św. Piotra wpadły biegiem trzy bataliony piechoty, które ustawiły się wzdłuż fasady bazyliki. Równocześnie otwarto loggię frontową, a na jej balustradę zarzucono kobierzec ze szkarłatnego adamaszku. W tłumie powstało żywe poruszenie.

W chwilę później pokazał się w otwartej loggii zakrystyan z krzyżem, a za nim kardynał Macchi, który, zbliżywszy się do balustrady, silnym głosem wypowiedział tradycyjne obwieszczenie:

„Oznajmiam wam radość wielką. Mamy papieża! Jest nim Józef Sarto, jako Pius X.“

W jednej chwili prawdziwy szał ogarnął publiczność. Z tysięcy piersi wzbił się okrzyk: „Niech żyje Papież!“ — który powtarzano dalej a dalej, aż wreszcie w całem mieście rozlegało się nazwisko nowego papieża.

Nagle zapanowała cisza. W loggii ukazał się Pius X. Znów odezwała się krótka komenda, wojsko prezentowało broń, trębacze wojskowi zagrali fanfarę królewską, podczas gdy Pius X. udzielił błogosławieństwa „miastu i światu.“

X. Y. Z.

Ze Śląska.

W artykułach, jakie w obronie polityki „Katolika“ pojawiły się przed kilku miesiącami w krakowskim „Czasie“, zarzucono „Górnoślązakowi“, że niesłusznie wysuwa na plan pierwszy sprawę *wyborów*, nadając jej niejako charakter sprawy dla polskiego ludu śląskiego najważniejszej. Wybory — pisał autor artykułu — miną, a czy rezultat ich będzie taki lub owaki — *ogólnej* sprawy polskiej na Śląsku nie usuną, nie zbawią jej od razu ani nawet nie zmienią. Sprawa ta pozostanie — a wraz z nią pozostanie nadal potrzeba sumiennej i wytrwałej *pokojowej* dla niej pracy.

Jakkolwiek nie godzimy się na zapatrywania autora tych artykułów, jakoby kwestya wyborów nie posiadała pierwszorzędnego znaczenia dla polskiego ludu górnośląskiego, to mimo to przyznajemy twierdzeniu jego pewną słuszność. Tak jest, wybory minęły, a sprawa polska na Śląsku pozostała taką niemal, jaka była przed wyborami. *Walka wyborcza przyniosła jej bądź jak bądź znaczne zyski.* Do parlamentu niemieckiego wejdzie po raz pierwszy szczero polski poseł śląski, syn śląskiego ludu, prawdziwy reprezentant jego

niedoli, jego życzeń i dążności. Lud znajdzie w nim dzielnego obrońcę, nie będzie już skazany wyłącznie na łaskę lub niełaskę niemieckich centrowców. Poseł ten wstąpi do *Koła polskiego* i przełamie przez to niedorzeczną, sztuczną prawnopolityczną zaporę, dzielącą dotychczas tę prastarą dzielnicę polską od Macierzy. Ślązk stanowić będzie odtąd jedno prawnopolityczne ciało z resztą zaboru pruskiego. To już zysk wielki, ogromny. Większym zaś jest to, że polski lud śląski przekonał się dowodnie, iż gdy tylko zechce, może jednym zamachem pozbyć się wszelkich nieproszonych opiekunów, ująć sprawy swoje w własne ręce. Rezultat wyborów musi wpłynąć dodatnio na jego usposobienie, musi spotęgować samodzielność ludu.

Po zatem atoli niewiele się zmieniło na lepsze. Walka o prawa ludu nawet się jeszcze zaostrzyła. Obóz niemiecko-katolicki, ten najgroźniejszy na razie wróg ludu— podwoił nawet swoje ataki. Na widownię wystąpiła *władza kościelna* z całym swoim arsenałem bardzo poważnych, bardzo niebezpiecznych środków bojowych. Lud znalazł się przez to w jeszcze trudniejszem nawet położeniu, niż przed walką wyborczą. Do jakiego stopnia niemieckie duchowieństwo śląskie gotowe jest posunąć swą samowolę i swe uroszczenia, to pokazała *sprawa ślubu posła Korfantego*, to odsłaniają nam coraz liczniejsze skargi ludu w gazetach na tego rodzaju wyrządzane mu krzywdy, jak *odmawianie rozgrzeszenia* i wszelkich innych pociech religijnych za czytanie polskich gazet, za głosowanie na polskich kandydatów. Zachodzą wypadki, że księża tych, którzy nie chcą odstąpić narodowych gazet polskich, *gwałtem wypędzają z kościołów.* Maluczko, a dojdzie do tego, że przed ludem stanie straszna alternatywa: *albo Kościół — albo narodowość.*

Wobec tego konieczność dalszej *intenzywnej* pracy dla dobra ludu — o której pisał autor artykułów „Czasu“, nie tylko więc pozostała, ale stała się wprost *piekącą.* Jeżli zaś ma odnieść skutek pożądany, *polepszyć położenie ludu*, musi być nadal *zgodną, jednolitą a bardzo energiczną.*

Z szczerem stwierdzamy tu zadowoleniem, że gwałtowna, a wstrętna niemal polemika między pismami polskiemi na Ślązku, jaka toczyła się podczas walki wyborczej, na razie znacznie złagodniała. Chwali się to zarówno „Katolikowi“, jak i „Górnoślązakowi“, że ani jeden ani drugi po wyborach nie uderzył w ton *tryumfu, upokarzający przeciwnika.* Pozatem atoli polemika — jakkolwiek w łagodniejszej formie. trwa dalej. Słuszność w tej polemice jest zaś znów po stronie „Górnoślązaka.“

Już podczas walki wyborczej wyłoniła się sprawa, która wykazała, że okrzyczane zasługi „Katolika“ w rzekomo *pokojowej* pracy nie są tak wielkie, jak ogólnie mniemano, że działalność jego była bardzo jednostronna, że spuszczała z oka lub zaniedbywała zupełnie bardzo ważne strony rozwoju kwestyi narodowej na Ślązku. Mamy tu na myśli sprawę *biblioteki i znacznego funduszu*, podarowanych Górnemu Ślązkowi na ręce „Katolika“ przez *resztę wychodźców polskich w Rumunii.* Fundusz ten wynosił 7000 franków — a był przeznaczony na krzewienie oświaty polskiej na Ślązku. Okazało się tymczasem, że „Katolik“ a raczej jego kierownik, bibliotekę poustawiał na półkach, fundusz oddał do banku — i na tem poprzestał. Zawiązane przez niego Towarzystwo, które miało opiekować się tym darem, nie dało znaku życia. Ta sprawa wydobyła na jaw inną, mianowicie sprawę utworzonej przez „Katolika“ przed dziesięciu laty „Pomocy naukowej.“ I o tej nie można się na razie dowiedzieć, co zdziałała, lub co działa? Zdaje się, że pismo, które bezustannie skarży się na brak rodzimej inteligencyi na Ślązku, nic nie czyni, a w najlepszym razie czyni *za mało, aby inteligencyą tę pomnożyć.* Drugą kwestyą sporną — jest kwestya *bytomskiego „Związku wzajemnej pomocy robotników.“* Związek ten jest dziełem „Katolika“ — lecz z czasem stał się wyłączną jego domeną. Statuty jego nie odpowiadają już wymaganiom obecnej chwili, za mało dają praw członkom, za mało zapewniają im *korzyści* i z tego powodu związek nie rozwija się należycie. „Katolik“ zaś nie chce ani słuchać o zmianie statutów — z obawy, aby związek nie wysunął mu się z rąk.

Tymczasem położenie tak się ułożyło, że dziś potrzeba *zdwojonej pracy* nietylko około większego *jeszcze narodowego uświadomienia ludu śląskiego*, ale także około należytego *zorganizowania jego warstw robotniczych.* Pierwsze potrzebne jest wobec ataków duchowieństwa na *sumienie* ludu, drugie ze względu na mnożące się wypadki karania robotników polskich za polskie uczucia *ryczałtowem wydalaniem ich z pracy.* Pierwszym przeciwstawić trzeba *większy zastęp inteligencyi*, któraby prowadzić mogła lud w tej walce nad wyraz trudnej, drugim akcyą energiczną, chociażby nawet *strejkową dla pouczenia „baronów węglowych“ i innych pracodawców, że również są zależni od ludu. od robotników swoich.* Lecz ani jedno ani drugie nie powiedzie się, dopóki „Katolik“ nie wyrzecze się autokratycznego stanowiska swego „dopóki nie nabierze przekonania, że ponad jego interesami, że się tak wyrazimy *osobistemi*, głosować winien interes sprawy narodowej.“

Najgorsze przytem to, że szczerze narodowa prasa polska na Ślązku, do której w pierwszym rzędzie zaliczamy *„Górnoślązaka“* i gliwicki *„Głos Śląski,“* trapiona jest obecnie procesami tak, że trudno jej będzie rozwinąć należytą akcyą w kierunku *zmuszenia* „Katolika“ do wejścia na właściwą drogę. Groźne niebezpieczeństwo zawisło mianowicie nad *„Głosem,“* którego wydawca i redaktor p. *Siemianowski* już skazany został na 6 miesięcy więzienia, a nadto ma przed sobą jeszcze kilka procesów.

Wobec tego *spada znów na ludzi dobrej woli po za Ślązkiem obowiązek wdania się w sprawę Ślązka* i pośrednictwa celem przywrócenia zgody i jednolitości w pracy narodowej w tej dzielnicy. Fakt, że nie udało się to przed wyborami, nie powinien nikogo odstręczać i zrażać. Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzeba na Ślązku *centralnej władzy narodowej*, któraby kierowała sprawą, a *stała ponad partyami.* Przy usilnych staraniach możeby się powiodło *zreformować „Towarzystwo wyborcze“* tak, aby znalazło uznanie także „Katolika.“ Apelujemy tedy raz jeszcze w tym kierunku do wybitnych mężów naszych w zaborze pruskim.

Apelujemy w końcu także do pana *Bronisława Koraszewskiego*, wydawcy *„Gazety Opolskiej.“* Stanął on wprawdzie podczas wyborów po stronie „Katolika,“ ale stanowiska narodowego nie porzucił. Niechże dziś zejdzie z swej pozycyi wyczekującej, niech rzuci na szalę wielki jeszcze na Ślązku swój wpływ osobisty — aby nareszcie zapanowała zgoda, aby praca dla ludu i sprawy narodowej weszła *na tory racyonalne!*

Narodowiec.

Poznańska kasa chorych

Nr. 3.

Na walnem zgromadzeniu trzeciej miejscowej kasy chorych w Poznaniu wybrano na lekarzy kasowych, jak wiadomo, samych Polaków. Magistrat Poznański wszakże zniósł dekretem powyższy wybór, występując w charakterze władzy nadzorczej. Pozostawiając na uboczu wszelkie nasuwające się uwagi etycznej i politycznej treści,

rozpatrzymy wywiązaną sytuacyę li tylko z prawniczego stanowiska.

Wpierw kilka uwag o naturze i organizacyi rzeczonej kasy. Do kasy trzeciej należą pracobiorcy, zajęci w zawodach wymienionych w § 1 statutu kasowego. Kasa chorych używa praw korporacyjnych, nadanych jej prawem kasowem. Podstawą jej organizacyi jest samorząd. Organami oraz przedstawicielami jej są: zarząd i walne zgromadzenie. W skład zarządu wchodzi 8 członków wybieranych przez walne zgromadzenie. Członkowie zarządu wybierają między sobą przewodniczącego, zastępcę jego oraz sekretarza. W obecny skład zarządu wchodzi 5 Polaków i 3 Niemców. Walne zgromadzenie tworzą wybrani przedstawiciele prawodawców i pracobiorców.

Do funkcyi walnego zgromadzenia należy w brzmieniu § 56 Nr. 8 statutu:

Ostateczne (definitywne) zatwierdzenie kontraktów zawartych przez zarząd z lekarzami, aptekarzami i lazaretami.

Władze zwierzchnicze (magistrat i prezes rejencyi) pełnią pewien nadzór nad kasą. Zachodzi więc przedewszystkiem pytanie, jak daleko sięga ten nadzór i czy w imię prawa nadzoru władza zwierzchnicza znosić może uchwały zarządu i walnego zgromadzenia.

Prawa władzy zwierzchniczej zawarte są przedewszystkiem w §§ 68—70 statutu.

Podług §§ 68, 69 władza zwierzchnicza rozstrzyga pewne spory między pracobiorcami a pracodawcami. § 70 opiewa, że nadzór nad kasą pełnią władze zwierzchnicze podług prawa kasowego. — § 45 prawa kasowego brzmi jak następuje:

Władza zwierzchnicza dozoruje spełnianie przepisów prawa i statutu i może je wymusić naznaczeniem kar porządkowych.

Tak więc władza zwierzchnicza ma jedynie prawo i obowiązek dozorowania, czy przepisy prawa i statutu zostały wypełnione. — Wracając do wyboru lekarzy — przyznać należy władzy wyborczej prawo stwierdzenia, czy przepisana ilość lekarzy obraną została. Jeżeli ich jednakże wybrano i wybór formalnie został dokonany, władza nadzorcza niema prawa wnikania w motywa i przyczyny wyboru. Wynika to już z wymienionego wyżej § 56 statutu, który mówi o *ostatecznem* zatwierdzeniu wyboru lekarzy przez walne zgromadzenie. — Walne zgromadzenie jest zatem pod tym względem *ostateczną* instancyą, od której niema apelacyi.

Dekret magistratu jest więc wykroczeniem przeciwko przepisom prawa. Całe prawo kas miejscowych (Ortskrankenkasse) wyklucza w zasadzie znoszenie uchwał przez władzę zwierzchniczą. — Autorzy dekretu magistratu zastósowali tu mylnie prawo, przysługujące władzy zwierzchniczej wobec kas cechowych (Innungskassen) — (§ 94 ordynacyi przemysłowej i § 73 prawa kasowego.)

Co do stanowiska, jakie kasa wobec dekretu magistratu zająć powinna, — to trudno w tym względzie o prawniczą wątpliwość.

Dekret magistratu jest *materyalnie i formalnie bezpodstawnym. — Nie potrzeba przeciwko niemu remonstrować, ani nie potrzeba nowych lekarzy wybierać,* — dekret magistratu sam w sobie pozbawionym jest prawomocności. — Czy przyśni się naprzykład komu remonstrować przeciwko policyi, gdyby policya, przekraczając swoją władzę skazała kogoś na śmierć? Wyrok podobny był by aktem pozbawionym prawomocności, — takim samym aktem nie mającym za sobą nawet formalnej podstawy jest dekret magistratu.

Tak sprawa przedstawia się prawniczo. — O ile mi z rozmów z przedstawicielami zarządu wiadomo, stoją panowie ci na innem stanowisku, którego nie śmiem nazwać mylnem. W każdym razie wiemy, że sami praw swych bronić potrafią, za co im się należy uznanie.

Prawnik.

Niedoszłe powstanie polskie
w r. 1877.

W nekrologu księcia Adama Sapiehy w nr. 31 „Pracy“ znajdujemy wzmiankę o „tajnej konferencyi polskiej w Galicyi,“ która w r. 1877 podczas wojny turecko-rosyjskiej zamierzała wywołać w Królestwie, ogołoconem naonczas z wojsk, nowe powstanie.

Sprawę tę osłania dotąd głęboki tuman tajemniczości. Ogół nie słyszał nic ani o wzmiankowanej konferencyi, ani o zamiarze rozniecenia powstania tak, iż wielu było-by skłonnych opatrzeć tę wzmiankę znakiem zapytania i wykrzyknikiem.

Tymczasem jest faktem, że Królestwo w r. 1877 o mało nie stało się teatrem nowego powstania. Dotychczas przysłaniało tę sprawę milczenie ze względu na tych uczestników konferencyi, dla których mogło to pociągnąć przykre następstwa. Atoli dzisiaj, gdy spoczywają w ziemi, czas uchylić zasłonę na tę tajemniczą kartę dziejów porozbiorowych.

Jak mi wiadomo z ust ś. p. ojca mego, konferencya, o której mowa w nekrologu księcia Sapiehy, nie odbywała się w Galicyi lecz we *Wiedniu*, latem roku 1877. Inicyatywa do niej nie wyszła od Polaków, jak-by ten i ów mógł przypuszczać, ale od Anglików i to od *lorda Beresforda*, który zwołał grono wybitnych obywateli z Galicyi oraz dwóch polityków z Księstwa: śp. Władysława Niegolewskiego i śp. Władysława Wierzbińskiego. Jeźli się nie mylę był to lord Charles Beresford, admirał znany z czasów okupacyi Egiptu, który w czasie wojny japońsko-chińskiej odegrał pewną rolę jako pełnomocnik rządu i uchodzi w Anglii za polityka ze szkoły Palmerstona oraz zwolennika radykalnej taktyki w polityce.

Starając się rozniecić w Królestwie ogień wojny, przypuszczam, że nie miał on na celu odbudowania Polski, w które bodaj nie mógł wierzyć, lecz głównie sprawienie dywersyi na korzyść Turcyi. W Anglii bowiem, zazdrosnej o wpływy nad Bosforem, panowała natenczas obawa, by Rosya nie opanowała Konstantynopola.

Lord Beresford nie występował wobec Polaków jako pełnomocnik rządu; działał tylko we własnem imieniu, zapewne w porozumieniu z innymi arystokratami angielskimi i milczącem przyzwoleniem gabinetu, zobowiązując się dostarczyć Polakom kapitałów, broni i t. d. Poprzednio już porozumiał się z notablami galicyjskimi, pomiędzy którymi plan jego znalazł poklask, i pewny, iż gremium także zgodzi się na wywołanie powstania, ofiarował się natychmiast wyasygnować potrzebną sumę na cele powstańcze. Czy do grona zwolenników powstania należał zmarły książę Adam Sapieha, tego powiedzieć nie umiem. Natomiast niejednokrotnie słyszałem od obu deputatów z Wielkopolski, że pomiędzy większością notabli galicyjskich, którzy przybyli do Wiednia całkiem zjednani dla planów lorda, jednym z najzapalczywszych zwolenników powstania był poeta *Kornel Ujejski*, który niemały wpływ wywierał na umysły uczestników. Rzecz zatem wisiała na włosku.

Jednakże stanowcze veto założyli dwaj Wielkopolanie, w dłuższych przemówieniach (które toczyły się w języku francuzkim) zdemaskowali zamiary lorda i wykazali zgubne skutki zbrojnej akcyi tak, iż ostatecznie ten parlament polski pod laską Anglika nie zgodził się na to, aby Polacy niby najmici za obce pieniadze przelewali krew

w interesie Turcyi i W. Brytanii, i oświadczył się przeciwko powstaniu.

Maciej R. Wierzbiński.

Pożyteczna literatura.

V.

(Duchowieństwo—lekarze—adwokaci.)

Omówiwszy szczegółowo wszelkie środki walki ekonomicznej, jakiemi posługują się Polacy, przyczyny wzrastającego dobrobytu ludności polskiej, wychodźtwo czasowe itd. poświęca autor dzieła: „*Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen*" osobny — *końcowy* rozdział w formie epilogu — polskiemu *duchowieństwu*, polskim *lekarzom i adwokatom*. „Szczegółowe przedstawienie *politycznej* roli — pisze — jaką odgrywały wyższe warstwy społeczeństwa polskiego w walce narodowościowej, nie wchodzi w ramy mej niniejszej pracy, która ma uwidocznić jedynie walkę *ekonomiczną* obu narodowości. Przytoczę tu też tylko te drobne liczby, które uzyskać było można co do narodowego składu warstw, dzierżących w swem ręku kierownictwo masy ludności polskiej. Zaznaczam przytem z góry, że kierownictwo to, będące dawniej wyłącznie udziałem *szlachty*, zagarnia dziś coraz bardziej polski stan mieszczański. Szlachta polska stopniała już bardzo wśród posiedzicieli ziemskich(?), a niema jej już prawie wcale (?!) także w polskim stanie duchownym, który jak wszędzie po za Niemcami, tak i tu zupełnie się zdemokratyzował."

Po tym interesującym chociaż nie zbyt dokładnym wstępie oblicza autor, że duchowieństwo katolickie, podlegające arcybiskupowi gnieźnieńsko - poznańskiemu, obejmuje wraz z przyszłymi kapłanami a obecnie klerykami, *860 osób*. Z tych nosi „*czysto niemieckie*", lub „widocznie" *spolszczone niemieckie nazwiska*: 301 duchownych, a więc 35% ogólnej liczby; i to w archidyecezyi gnieźnieńskiej 68 duchownych z 239 (= 28%), w archidyecezyi poznańskiej 233 z 621 (= 37%). Kapłanów z niemieckiemi nazwiskami jest więc — zdaniem autora w Księstwie stosunkowo znacznie więcej, niż niemieckich katolików w stosunku liczebnym do polskich. Ile atoli z tych nazwisk niemieckich oznacza dziś rzeczywiście kapłanów Niemców — tego autor dowiedzieć się niemógł. Wśród młodszej generacyi, która otrzymała święcenia w ostatnich 10 latach, może ich być zdaniem autora, tylko „bardzo mało"; a i „ze starszych nie wielu odważy się okazywać swe interesy niemieckie aby nie zaprzeczyć podtrzymywanemu starannie aksyomatowi, że polskość jest tu synonimem katolicyzmu."

Obok duchownych najważniejsza rolę w walce ekonomicznej i narodowej, według autora odgrywają *polscy lekarze*. W roku 1894 miało ich być na ogólną liczbę 420 w Księstwie 172 — czyli 42%. Z liczby tej przypadało na obwód rejencyjny *poznański* 122 (na 2%) a na obwód *bydgoski* 50, (na 13%). W roku 1900 natomiast było według jego obliczenia w Księstwie wśród ogólnej liczby 517 lekarzy *tylko 166 Polaków*, czyli 32%, a mianowicie w obwodzie rejencyi *poznańskiej* na 334 lekarzy *121 Polaków* (36%), a w obwodzie rejencyi *bydgoskiej* na 183 lekarzy *45 Polaków* (25%). *Dwudziestu i jeden* a więc 12% nosi...... nazwiska niemieckie. Zdaje się, że wzrost liczby polskich lekarzy nie dotrzymał równego kroku z wzrostem ogólnej ich liczby, która ogromnie się podniosła w ostatnich 30 latach. W roku 1867 praktykowało bowiem w Księstwie tylko 278; w roku 1879: 289; w r. 1887: 352; w roku 1897: 499, a w roku 1900: aż 538 lekarzy. Przypada tu na każdego lekarza mimo to jeszcze tak wielki procent ludności, jak równego nie wykazuje żadna inna prowincya pruska.

Jeżli się wyjmie z ogólnego stosunku dwa główne miasta *Bydgoszcz i Poznań*, w których w pierwszem na 45 lekarzy przyp. 5 Polaków, a w drugiem na 115 aż 33 Polaków, wówczas na prowincyi znajdziemy w obwodzie bydgoskim 29%, w obwodzie poznańskim 46 procent polskich lekarzy.

Z 93 *aptekarzy* w Księstwie uważa autor 30, czyli 32% za Polaków, a z 171 *adwokatów* 44 czyli 26%, jakkolwiek z pierwszych *9* a z drugich *11* nosi *niemieckie nazwiska*.

Autor kończy ten rozdział następującemi uwagami:

„O tych trzech zawodach: *duchowieństwie, lekarzach wraz z aptekarzami i adwokatach*, powiedzieć można to samo, co powiedziałem poprzednio o *polsk. przemysłowcach*. Ci z nich, którzy poczuwają się do narodowości polskiej, mogą śmiało spoglądać w przyszłość, ponieważ wiedzą z góry, że na mocy swej polskiej narodowości (!) *napewno* (?) uzyskają dostateczną polską klientelę, a obok tego jeszcze *dużo Niemców* (?).

Zupełnie inaczej przedstawia się los tych, którzy są z przekonania Niemcami. Tych klientela ograniczona jest na pewne szczupłe (?) koła. Wiedzą oni, że mimo całej swej zdolności (?) polskiej klienteli pozyskać nie zdołają, a obok tego muszą się obawiać, że i niemiecka zmniejszać się będzie corocznie *wskutek wychodźtwa*. Następstwem tego jest, że właśnie najzdolniejsi (?) Niemcy z tych zawodów także chętnie przenoszą się do innych prowincyi."

I tego rozdziału autor nie zamknął konkretną *propozycyą*. Jasnem atoli jest, że i tu uważa wychodźtwo Niemców z Księstwa za *największe niebezpieczeństwo* dla tej dzielnicy pod względem niemiecko-narodowym. Dziwi nas zaś bardzo, jak może jeszcze biadać nad rzekomą niedolą niemieckich lekarzy i adwokatów, jeźli sam przytacza dane, według których liczba lekarzy i adwokatów *polskich* w Księstwie *ani w przybliżeniu nawet nie odpowiada stosunkowi liczebnemu polskiej do niemieckiej ludności?* O tem zaś, jakiego materyalnego poparcia doznają u nas Niemcy w tych zawodach ze strony *rządu* — autor milczy zupełnie. To bowiem popsuło by mu *cel* tych skarg i żalów.

Czujny.

Z TYGODNIA.

„*Habemus Papam*" — mamy Papieża! Ten okrzyk rozlega się dziś radośnie po całym świecie we wszystkich na świecie językach. Conclave trwało tym razem niezwykle długo, bo niemal dni cztery podczas gdy wybór Piusa IX odbył się w dwóch dniach, a wybór Leona XIII w jeszcze krótszym czasie. W miarę zaś, im częściej wznosił się ponad kaplicą sykstyńską dym spalonych kartek wyborczych, oznaczający bezskuteczność aktu wyborczego, tem większa niecierpliwość ogarniała lud rzymski. Żadnej zapewne jeszcze sprawie politycznej prasa europejska nie wyjmując liberalnej a nawet bezwyznaniowej, nie poświęcała tyle miejsca, tyle uwagi, jak tej zmianie na tronie papieskim.

Aż nareszcie we wtorek dnia 4 sierpnia w południe krótko przed dwunastą z loggii bazyliki św. Piotra kardynał *Macchi* oznajmił w tradycyjnej formie zebranym przed świątynią tłumom, że wybrany został nowy Papież w osobie arcybiskupa Wenecyi, kardynała *Józefa Sarto*, który wstąpi na tron pod imieniem *Piusa X*.

Piszemy o tym radosnym fakcie oraz o nowym Ojcu św. na innem miejscu. Tu tylko zaznaczamy, że karyera jego duchowna inną była, niż *Piusa IX* i *Leona XIII*. Ci od razu po wyświęce-

niu zajęli wybitne stanowiska w administracyi *świeckiej i w dyplomacyi.* Obecny Papież natomiast od samego początku kapłaństwa swego pracował w duszpasterstwie. Jego poprzednicy ogromnie szybko przebiegli pierwsze stopnie hierarchii kościelnej; on przez długie lat dwadzieścia pozostawał na skromnych stanowiskach wikaryusza lub proboszcza małych parafii prowincyonalnych. Oni rychło zapoznali się z arkanami spraw dyplomatyczno-politycznych, on w życiu swojem jedną tylko stoczył walkę z świecką władzą.

Nowy papież został wybrany 50 głosami. Przy pierwszem głosowaniu otrzymał kardynał Rampolla 24, kardynał Vannutelli 15 głosów. Reszta głosów rozstrzelila się na kardynałów di Pietro, Gotti i Oreglia. Kardynał Sarto żadnego nie otrzymał głosu. W poniedziałek padło na kardynała Sarto 31 głosów, ponieważ zagraniczni kardynałowie nalegali, aby wyboru jak najspieszniej można dokonać, ale i kardynał di Pietro otrzymał wiele głosów. Wieczorem oświadczył kardynał di Pietro, że nie przyjąłby ewentualnego wyboru ze względów na słabe zdrowie. Nareszcie na siódmem posiedzeniu otrzymał Kardynał Sarto przepisane dwie trzecie głosów. Podobno na jednem z pierwszych posiedzeń konklawe oświadczył pewien kardynał Austryacki, że Austrya protestowałaby przeciwko wyborowi Kardynała Rampolli. Kardynał Rampolla zaś powiedział, że byłby szczęśliwym, gdyby mu oszczędzono ciężkiego urzędu pontifikatu. Gdy Kard. Sarto się dowiedział, że liczba głosów na niego wzrosła, prosił kardynałów ponownie, aby go nie obierali, i dopiero po usilnych prośbach swoich przyjaciół zdecydował się zgodzić na ewentualny wybór.

Koronacya Papieża odbędzie się w niedzielę, 9 sierpnia.

Ojciec papieża był woźnym magistratu, matka jego umarła przed dziesięciu laty, jeden z braci, dawniejszy karabiner jest obecnie handlarzem wina w Mantui. Z czterech sióstr dwie mieszkały u niego w Wenecyi, trzecia jest żoną zakrystianina w Salzano, a czwarta oberżysty w Riese. „Nat. Z.“ podnosi wielkie przywiązanie Papieża do swej starej matki, którą odwiedzał bardzo często i wyraża nadzieję, że nowy Namiestnik Kościoła poprowadzi dalej pokojowe i pojednawcze tradycye Leona XIII.

Jest on nieco z twarzy podobny do Piusa IX. Charakterystycznym jest dowcip, który obiegał wczoraj rano tłumy, stojące na placu św. Piotra: „Rząd nas Włochów rozebrał aż do koszuli, potrzeba nam koniecznie krawca.“ (*Sarto* — znaczy po włosku: krawiec). W kwadrans później znalazł się ów upragniony „krawiec.“

Gazety podają o nowym Papieżu przeróżne wiadomości i szczegóły o jego życiu i stosunkach, częstokroć bardzo sprzeczne między sobą, wszelako z obowiązku dziennikarskiego zestawiamy tutaj niektóre z tych danych. I tak pisze „Wiener Tagebl.“, że nowy Papież pochodzi z biednej rodziny włościańskiej z okolic Treviso, że matka i jego siostry jeszcze żyją i noszą ubiór chłopski. Brat papieski jest drobnym handlarzem wina w Mantui, szwagier posiada trafikę tytoniu w Riese — inny jest organistą przy kościele parafialnym w Salzano, gdzie X. Sarto był długie lata proboszczem. W Wenecyi wszyscy kochali Patryarchę. Gdy odjeżdżał na konklawe, tysiące ludu odprowadziły Kardynała, przeczuwając, że już do nich nie powróci. Nowy Papież jest bardzo pobożny, bardzo skromny, pełen prostoty i miłości bliźniego.

Ubolewamy szczerze, że od tej sprawy przejść teraz musimy do innej, która cuchnie formalnie brudem politycznym i moralnym. Ta brudna sprawa rozegrała się na *Węgrzech.* Nigdzie zapewne w Europie *żydzi* nie cieszą się tylu przywilejami i takiemi wpływami, jak właśnie w państwie *Madziarów.* Podczas gdy ci gnębią przynależnych do ich państwa *Słowian,* obdarzają żydów najwyższem zaufaniem i powołują ich na najwybitniejsze stanowiska. A jakże się teraz żydzi za to im odwdzięczyli? Otóż szajka intrygantów i szantarzystów żydowskich, korzystając z walki, jaka tam o armią toczy się między rządem a stronnictwem opozycyjnem, urządziła pewien prawdziwie żydowski coup d'etat dla zapełnienia kieszeni swych. Wmówili w przyjaciela od serca obecnego węgierskiego prezesa ministrów hr. Khuena, że opozycya da się przekupić, byle tylko dał na to *dużo, dużo pieniędzy.* I przyjaciel ten, hr. Władysław *Szapary* gubernator Rieki, dał się skusić — sądząc, że uratuje przez to stanowisko rządu. Lecz żydzi, otrzymawszy pieniądze, *wyjawili rzecz całą.* I skutek taki: Stanowisko rządu jeszcze bardziej zachwiane, prawie już niemożliwe, ów hr. Szapary skompromitowany i pozbawiony urzędu, a żydzi — no ci mają *pieniądze i śmieją się z tego.* Lecz niema złego, coby na dobre nie wyszło. Poznała teraz *arystokracya* węgierska, czem to pachnie — *przyjaźń żydowska.* Może więc i w jej kołach nastąpi reakcya zbawienna. Dla braci naszych w Królestwie i w Galicyi nauka zaś z tego taka, że żydowi ufać nie należy, chociażby najgłośniej wołał: *Jestem Polakiem* i odgrywał rolę wielkiego patryoty. Oby ta nauka nie poszła w las! My zaś dziękować możemy Bogu, że nas przynajmniej zachował od takiej społecznej „przymieszki“ „polskiego“ żydowstwa!

M. C

Przegląd prasy.

Stosunek centrum do Polaków nie przestaje zajmować naszych polityków. Niedawno jeden z korespondentów „Kraju“ dorzucił ciekawy przyczynek do tej sprawy, ogłaszając rozmowę swą z pewnym członkiem partyi centrum, jednym z „tych uczciwych i lojalnych Niemców, którzy do ostatnich czasów Polakom wiernie dochowywali życzliwości.“ Z rozmowy tej można wyciągnąć wniosek, że nawet „uczciwi i życzliwi“ nam centrowcy nie są w możności stanąć na etycznej wyżynie, na jakiej było centrum za czasów Windhorsta, a życzliwość ich jest pustym dźwiękiem.

Oczywiście centrowiec uskarżał się na radykałów polskich:

„Weź pan n. p. Górny Śląsk — mówił członek centrum — Co się tam dzieje! Ten ruch musi spotkać w nas stanowczych przeciwników z dwóch względów: raz, że jako *Niemcy,* musimy zwalczać propagandę antypaństwową (?) i powtóre, że jako *katolicy,* widzimy w tym ruchu olbrzymie niebezpieczeństwo dla idei religijnej. (?)“

Nie nowa to rzecz, że Niemcy przypisują t. z. radykalistom polskim (czytaj: dobrym Polakom) dążności antypaństwowe. Co się zaś tyczy drugiego punktu różnimy się zasadniczo z centrowcem, widząc właśnie w ruchu narodowościowym ratunek przed socyalizmem, a w dalszem wysługiwaniu się germanizatorom centrowym poważne niebezpieczeństwo zarówno dla idei narodowościowej jak religijnej.

Stanowisko narodowe Polaków we Westfalii nazwał członek centrum „krzykliwą demonstracyą,“ a o wyborze pana Korfantego wyraził się jak następuje:

„Dla centrum dużą wagę będzie miała okoliczność, czy Koło polskie przyjmie go za członka, czy też nie przyjmie. Gdyby Korfanty, wybrany pod hasłem, „precz z centrum“, przyjęty został do Koła, dalszy sojusz stałby się niemożliwym. Rozdział zwiększyłby się ogromnie. Oczywiście i wtedy nie popieralibyśmy hakatystycznych zakusów, ponieważ zawsze stoimy na gruncie sprawiedliwości i prawa. Lecz Polacy nie mogliby liczyć na to, abyśmy żywiej ich interesów bronili. Dziś to przekonanie wogóle poczyna przeważać wśród katolików niemieckich, że nie

mamy żadnego powodu, wobec ostatnich faktów, czynić jakichkolwiek poświęceń (?!) dla Polaków."

W rezultacie — mówił centrowiec — „ostatnia kampania wyborcza ochłodziła w wysokim stopniu sympatye katolików niemieckich do Polaków," ale zapomniał dodać, że stało się to wskutek tego, iż centrowcy pracowali nad tem, jak najgorliwiej, by ochłodzić we wysokim stopniu sympatye Polaków do niemieckich katolików. Zresztą nad utratą owych sympatyi nie ma co płakać, bo dobrze wiadomo ile one były warte. Wobec tego jest wprost śmiesznem, jeźli jaki centrowiec może mówić o „poświęceniach" ze strony centrum dla Polaków.

„Dzien. Berliński" wykazuje też w osobnym artykule, jak „poświęcenia" te wyglądają. Podczas gdy centrum nigdy nic nie poświęciło dla nas, my dawaliśmy partyi centrum kilka mandatów na Śląsku, mandat wschowski i warmiński. A

„nie ma powodu nadal się poświęcać dla stronnictwa, które dziś w wielkiej części mianowicie w polskich dzielnicach stało się silną podporą wrogiego nam systemu!"

W sprawie *ks. Tascha „Dzien. P."* dowodzi, że kompromis wyborczy pomiędzy Polakami, a niemieckimi katolikami w okręgu wschowskim rzeczywiście istniał, a osobami, które go zawierały, byli pp.:

„zmarły już Stefan hr. Dąbski z Żakowa i żyjący Jan Chłapowski z Goździchowa, a działo się to w Lesznie w mieszkaniu X. dziekana Tascha."

Z odpowiedzią na zaczepki ks. Tascha pospieszyli ks. dziekan Mojżykiewicz i ks. proboszcz *Zwickert* z Rydzyny, który między innemi taką daje lekcyą księdzu Taschowi:

„Ks. Tasch i politycznie roztropniej i szlachetniej byłby sobie postąpił, powiedziawszy sobie: Polacy postawili własnego kandydata — dobrze — mam to przekonanie, że przepadnie, ale nie wypada mi przeciw legalnie postawionemu konfratrowi występować, skoro tenże z woli większości katolickiej (22.000 Polaków) tym razem na kandydata polskiego jest postawiony, bo ks. Mojzykiewicz jest wpierw postawiony, a więc ma większe prawo, nie wypada mi odpłacać się Polakom niewdzięcznością za to, że przed pięciu laty do zwycięztwa mi pomogli i nic dla nich nie robić, bo to nie byłoby szlachetnie, nie wypada mi partyi centrowej wyświadczać niedźwiedziej przysługi, bo lubo może na ten raz Centrum krzesło poselskie straci, to ma przecież widoki na przyszłość i to widoki pewne.

„Nie wypada mi wystawiać na szwank kapłańskiej mojej osoby i siebie na pośmiski możliwego rozgoryczenia. Tymczasem ksiądz Tasch tego wszystkiego nie uczynił, sprawie katolickiej nie pomógł, lecz grubo zaszkodził, ztąd wina i do pewnego stopnia odpowiedzialność, że *on do zdrady sprawy katolickiej pośrednio się przyczynił.*

„Wypraszamy sobie, aby ks. Tasch naszą rzetelną, uczciwą i przyzwoitą pracę na wiecach nazywał wędrówką od karczmy do karczmy! Wypraszamy sobie, aby przez usta swoich informatorów imputował nam i naszej agitacyi fanatyzowanie i ogłupianie ludu."

Na *G. Ślązku* — jak donosi *„Katolik"* — zawiązało się *Polskie Towarzystwo polityczne.*

„Na zaproszenie ks. prob. Skowrońskiego z Ligoty pod Białą, przybyło około 100 obywateli z polskich okolic Śląska Górnego i Średniego, i prawie wszyscy wstąpili do Towarzystwa i zapłacili zaraz składki roczne. Celem Towarzystwa jest obrona praw ludu polskiego na wszystkich polach życia publicznego, a także przeprowadzenie posłów polskich, zakładanie Towarzystw, czytelni, spółek, banków itd."

Niebawem ukaże się odezwa, która powiadomi społeczeństwo polskie bliżej z celami Towarzystwa, które niestety zdaje się mieć na celu stworzenie podpory dla „Katolika," przeprowadzenie posłów polskich do *centrum,* jednem słowem, tem większe rozdwojenie pomiędzy Polakami śląskimi.

Na straty, jakie wyrządziła *powódź* w W. Ks. Poznańskiem, wyasygnował rząd sumę *270 tys. marek.* Przy tej sposobności okazało się, że hakatyzm panuje także w niemieckich towarzystwach dobroczynności, a mianowicie w „Vaterländischer Frauenverein," który wzywa do składek tylko dla „niemieckich rodaków, zmuszonych *wśród polskiego otoczenia* ciężką staczać walkę," a poszkodowanych przez wylew wody.

O tej hakatystycznej dobroczynności socyalistyczny *„Vorwärtts"* pisze w sarkastycznym tonie:

„Istnieją jeszcze cuda! Niemcy mieszkają tam wśród polskiego otoczenia i tylko ich dotknęła katastrofa powodzi. Polacy mieszkańcy owych wsi nie popadli przez nią w największą nędzę! Ich żniwa nie są zniszczone, im nie brak pożywienia dla rodzin, a paszy dla bydła! Oni nie są skazani na ostatnią nędzę. Jak bowiem przewodnicząca chrześcijańskiego Związku i nabożny pastor mogliby ich nędzy nie widzieć? Czyż jest możliwem, że głosiciel chrześcijańskiej miłości odepchnąłby przy rozdzielaniu dobroczynnych darów głodną kobietę i jej głodne dzieci dlatego tylko, że ona jest Polką? Trzeba więc chyba przypuszczać, że Bóg Polaków z miłości do swoich ściślejszych rodaków zmienił na pewien czas prawa natury."

No, a co za okropna dola Niemców rzekomo „zmuszonych do ciężkiej (?) walki wśród polskiego otoczenia!" Przedewszystkiem nikt ich nie zmusza do przebywania na polskiej ziemi. Niech idą, zkąd przyszli, jeźli im tu tak ciężko. Życzymy im dobrej drogi. Ale bodaj dola ich nie musi być tak ciężką, jeżeli się nie wynoszą z pośród polskiego otoczenia. Rząd bowiem pracuje nad tem, aby zdjąć im wszelkie ciężary, obsypując ich złotem i „wzmacniając" za pomocą wszelkich środków państwowych. Niemcy zaś umieją korzystać z okoliczności. I tak *„Wielkopolanin"* opowiada w jaki sposób pewien Niemiec otrzymał od komisyi kolonizacyjnej wygórowaną cenę:

„W Prusach Zachodnich chciał pewien Niemiec pozbyć się majątku. Targował się, ale nie mógł tej ceny osiągnąć, jakiej sobie życzył. W majątku tym był mały obszar lasu. Na ten lasek robi ofertę pewnemu zamożnemu Polakowi, że tanio mu sprzeda. Ów Polak przybywa, ogląda lasek, rządzca obwozi go z towarzyszem po polu, pokazuje mu podwórze, ale kupno nie przyszło do skutku, bo las był za drogi. Niezadługo komisya kolonizacyjna dowiaduje się o tem, że zamożny Polak oglądał ów majątek celem kupna — i chcąc Polaka ubiedz, płaci Niemcowi żądaną cenę."

Za pomyślny objaw poczytujemy, że społeczeństwo zdaje się brać rozbrat z dotychczasową *pobłażliwością wobec sprzedawczyków,* o której *„Kuryer Warsz."* pisze między innemi:

„Ta miękkość opinii musiała, prędzej czy później, wydać najzgubniejsze owoce. Drwiono sobie poprostu z protestów prasy poznańskiej, bo wiedziano dobrze, że społeczeństwo ma krótką pamięć i przebacza szybko. A gdy ostatecznie opinia zaczęła się naprawdę burzyć i potępiać, postarano się o ajentów polskich, zostających na żołdzie kolonizacyi, którzy dobra kupowali symulacyjnie dla siebie, aby je w tydzień później odprzedać kolonizacyi. Faktem jest, że zazwyczaj sprzedający domyślał się, jaką rolę wobec niego odgrywa kupiec nieznajomy, ale grał komedyę naiwności, aby potem krzyczeć w dziennikach: „Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem o niczem. Przysięgam, że wyprowadzono mnie w pole. Nie ja jestem winien, lecz zamaskowany ajent kolonizacyi."

„Opinia zaś uśmiechała się ironicznie, lecz także udawała, że wierzy fałszywym zaklęciom. Jedni okłamywali drugich i wszyscy grali głupią komedyą."

„Gazeta Polska" zaś rzuca myśl

„żeby kierownicy opinii publicznej nie zadawali się skargami i groźbami, lecz przystąpili do czynu i *zorganizowali lud przeciw pomocnikom kolonizacyi. Wystarczy zwołanie kilkunastu zebrań publicznych w tym celu w Poznaniu samym i miastach powiatowych,* a uchwały powzięte na takich zebraniach będą dla jednych do

statecznym naciskiem, dla drugich punktem oparcia w walce z sprzedawczykami. Ogół ziemian poznańskich nie jest zły, lecz tylko słaby; nie brak mu dobrych chęci, lecz trzeba potężnych manifestacyi, aby ośmielić go do stanowczego występowania przeciw niegodnym członkom własnego stanu."

Dotychczas lud, aczkolwiek najdotkliwiej cierpi na wydawaniu wsi polskich w ręce kolonizacyi, nie podniósł głosu przeciwko sprzedawczykom.

Lwowskie *„Słowo polskie"* dodaje:

„Opinia ścigająca sprzedawczyków powinna być równie surową we wszystkich dzielnicach polskich. Zdarza się bowiem często, że sprzedawczyk z Poznańskiego do Królestwa lub z Litwy do Galicyi, nie ponosi już tutaj żadnej kary za popełnione winy, cieszy się nawet mianem „zacnego" i „szanownego" obywatela. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że zbrodnicze frymarczenie ziemią rodzinną, że kurczenie podstawy naszego narodowego bytu, jest zawsze występkiem wobec całego narodu, bez względu na to, w jakiej dzielnicy dokonanem zostało."

Na czarną listę *kolonizatorów* przybywają nowe nazwiska! *„Dziennik Pozn."* donosił, że

„pan Michałowski z Bydgoszczy kupił majątek ziemski około 700 mórg Albertynowo pod Wągrówcem od pana Karłowskiego za 175 tysięcy marek za pośrednictwem Apolinarego Kozłowskiego z Cerlejnka."

A bydgoska *„Ostd. Rundschau"* tak pisze:

„Z powiatu wągrowieckiego, 28-go lipca. W pobliżu Pol. Brzeźna, należącego do komisyi kolonizacyjnej położony folwark Albertynowo około 700 mórg, własność pana Karłowskiego, nabyła komisya kolonizacyjna za 175,000 marek. Folwark ten, który należał do obwodu dominialnego Zelice, zostanie teraz przydzielony do przyległego Pol. Brzeźna, które przed rokiem nabyła komisya kolonizacyjna."

„Będą teraz naturalnie — pisze „Goniec" — tłómaczenia, uniewinniania, składania winy z jednego na drugiego, aby jeszcze tumanić publiczną opinią, a potem, z tysiącami w kieszeni znikną te sprzedawczyki z widowni, aby potem gdzieindziej wypłynąć jako dyrektorowie banków, bazarów itp. instytucyi na powierzchni i być na nowo prowodyrami ludu polskiego.

„Korupcya i demoralizacya wcisnęła się dziś już głęboko w szeregi naszego społeczeństwa, a skorumpowane te kreatury, które po ulicach Poznania, Gniezna, Inowrocławia i innych miast szlifują bruki, stawiły sobie za dewizę „zarobić!", w jaki sposób, to im za jedno, a choćby swą rodzoną matkę, brata lub siostrę sprzedać miały."

„Kur. Pozn." przypomina sprawę pana *A. Dembińskiego* z Węgierc, który jak wiadomo wydawszy swoją wieś rycerską Wolę Kożuszkową, gdzie przez szereg lat żywił Niemca — administratora, Niemcowi, przejął w zamian od niego folwark. „Smutny ten fakt — pisze „Kur. Pozn." — w daleko ciemniejszych, a dla pana Dembińskiego niekorzystniejszych barwach przedstawił pewien gospodarz Kujawiak," między innemi tak pisząc:

„Krzywda ze strony wicepatrona Kółek rólniczych na Kujawy, stała się wielką i niepowetowaną, którą chyba Pan Bóg mu wybaczy, bo gospodarze kujawscy słysząc wspaniałe słowa jego na walnem zebraniu Kółek w Kruszwicy w niedzielę, a dzisiejsze jego czyny widząc, nie mają dalszego zaufania do niego."

Tymczasem — donosi *„Kuryer Pozn.:"*

„W kilka dni później zaś Kółko rolnicze dla Łojewa i okolicy, a następnie Kółka włościańskie w Tucznie i w Liszkowie wyraziły p. Dembińskiemu wotum zaufania, pierwsze z nich dodało jeszcze do swego oświadczenia, iż *„pan wicepatron żadnej absolutnie krzywdy nie wyrządził społeczeństwu."* (!!)

Wobec tego *„Kuryer"* zauważa bardzo słusznie:

„Ubolewać należy, że pan Dembiński powoduje Kółka rólnicze do zajęcia się sprawami, które ściśle wziąwszy w zakres ich zadań i działalności nie należą — a życzyć sobie tylko trzeba, aby *jego postępowanie nie stało się dla gospodarzy zachętą do pozbywania się zagród ojczystych* i dyspensowania się z tego w swojem sumieniu."

Istna to komedya! Czy na Kujawach nie ma amatorów, którzy dawali by mędrsze przedstawienia teatralne, jeźli już bez komedyi obejść się nie może?! Gdyby sprawa ta nie była tak smutną, można by śmiać się nad kółkami włościańskiemi, które czują się powołane do rozpatrywania sprawy czy pan wicepatron wyrządził krzywdę, czy nie wyrządził społeczeństwu i — dają swemu wicepatronowi rozgrzeszenie! Źle musi stać sprawa pana A. Dembińskiego, jeźli ucieka się do — kółek z prośbą o obmycie go z winy. A w bardzo niekorzystnem świetle przedstawiają się owe kółka, pozwalając się użyć do śmiesznej i bezowocnej komedyi. Widocznie nie ma w tych kółkach Kujawiaków tak trzeźwo myślących, jak wzmiankowany korespondent lecz bezmyślni ludzie, owczym pędem idący za głosem pierwszego lepszego. Rozgrzeszenie ich — nie ma najmniejszej wartości, bo społeczeństwo go *nie* podpisuje. Więc w rezultacie kółka rólnicze skompromitowały się, a p. A. Dembińskiemu nie wyświadczyły wcale przysługi, bo na przypomnieniu tej sprawy p. wicepatron nic chyba nie zyskuje. Dziwić się przytem trzeba tym, którzy są odpowiedzialni za owe klasyczne rozgrzeszenie, bo czyż nie widzą, że *skłaniając* lud do takiego wyroku — *demoralizują go*, że z góry *uniewinniają każdego kurczyciela ziemi polskiej?!* Z pojęciami, jakie panują widocznie tam, nie solidaryzuje się wcale reszta Księstwa. Trzeba je zatem dla odróżnienia ochrzcić — *pojęciami kujawskiemi.*

Wreszcie dziwić się można, że p. wicepatronowi wystarcza to, iż przed areopagiem aż trzech kółek rolniczych otrzymał absolucyą. Cóż na to zarząd kółek rolniczych?

Zdawało by się, że „polska blaga" znikła z ziemi wielkopolskiej. Tymczasem okazuje się, że przechowała się jeszcze w goplańskich stronach i święci tam nawet fajerwerkowe tryumfy.

Ale i na Kujawach blaga przestaje na szczęście popłacać, bo — jak czytamy w „Dzien. Kuj." — w sprawie transakcyi pana A. Dembińskiego odbyła się narada w Inowrocławiu

„rad powiatowych powiatów inowrocławskiego i strzelińskiego, na której zapadła uchwała, aby p. wicepatron Dembiński złożył urząd wicepatrona Kółek włościańskich.

Red.

Głosy od Przyjaciół

***Z Górnego Śląska**, 20 lipca.*

Jeszcze dotąd pocieszają się centrowcy nadzieją, że p. *Korfanty* nie będzie przyjęty do Koła polskiego. Pominąłbym to milczeniem, gdyby tylko chodziło o zdanie naszych „najserdeczniejszych." Smutną atoli jest rzeczą, jeżeli takie zdanie jak powyższe usłyszeć można także od swoich, — od zwolenników „Katolika" i Centrum. Przecież wszyscy jesteśmy braćmi pomimo różnicy zapatrywań politycznych, więc nie zwalczać się wzajemnie i niechęcią, i nienawiścią ku sobie pałać, jeno — jeżeli się ostać chcemy i mamy, to obowiązkiem i powinnością naszą stawiać silny opór przeciw wszelkim zakusom germanizacyjnym, bez względu na to, z jakiej strony i od kogo pochodzą. A co się u nas działo podczas ostatnich wyborów?

Przedewszystkiem stał się rozlam pomiędzy nami, dwa przeciwne obozy bratnie stanęły przeciw siebie. Jeden obóz miał wszystko na swe usługi — albo raczej służył wszystkim Niemcom — miał więc wszystkich Niemców-centrowców, urzędników, nauczycieli, gościnnych, a nadto całe duchowieństwo z policyą i żandarmeryą na czele. Wszystkie zebrania wyborcze zwoływane były przez księży, a pilnie strze-

łone przez policyę. Zwołujący zebranie ksiądz lub proboszcz zaraz na wstępie oświadczał, że zebranie jest tylko dla centrowców, żaden przeciwnik nie ma głosu, wszyscy powinni się spokojnie jako goście zachować, w przeciwnym razie będą przez policyą wyrzuceni, i do kary za zaburzenie pokoju pociągnieni. To prawda, że porządek i spokój powinien być zachowany, ale jak gorzko i boleśnie słyszało się to z ust kapłana pomazańca i sługi bożego, kiedy groził karą więzienną i policyą pruską swoim własnym owieczkom. Niejeden westchnął i wspomniał sobie te czasy, kiedy to podczas walki kulturnej narażał się *w obronie księży ściganych przez policyą, a dzisiaj księża straszą i grożą policyą ludowi.* Znam starszego człowieka, któremu na wspomnienie tych czasów łzy w oczach stanęły.

Dzisiaj księża lud nogami kopią i w twarz uderzają, bo ów ludek odważył się stanąć w obronie swego języka i głosować na posłów Polaków. Wmawiają księża w lud, że tu idzie o wiarę św. itd. Naturalnie, że wielu, którzy wcale nic nie czytają, wierzą w to, ale ja ich nie obwiniam, jeno tych, którzy takie rzeczy głoszą i wiary św. nadużywają w celach politycznych. Przypominają się krzyżacy, którzy oskarzali nawet króla Jagiellę u Ojca św. o dążności pogańskie i twierdzili, że napada na sługi boże. A cóż się stało? Zakon krzyżacki zlutrzył się, spodlił i upadł a Jagiello nawrócił Litwę bez rozlewu krwi! Nie tu miejsce pisać o krzykach ale dodać muszę, że w ostatnim czasie znalazł się jeszcze ksiądz, który owego króla Jagiellę od czci i wiary odsądził.

Tak się dzisiaj czyni, a Katolik z Now. Racib. wiernie w tej robocie centrowcom pomagają, jakby Koło Polskie katolickiem nie było.

Po drugiej stronie stoi obóz z towarzystwem Wyborczem na czele, sam jeden bez żadnych sprzymierzeńców, od własnych braci opuszczony, oczerniony i spotwarzany — ale silny na duchu, wierzący we zwycięstwo sprawiedliwości a ufny jedynie w pomoc Boga i własne siły. Wysyła swoją szczupłą garstkę przedniej straży, a ci idą nieustraszeni wobec wielkiej siły nieprzyjacielskiej, z poświęceniem i zaparciem samych siebie, aby oświecić swoich braci w błąd wprowadzonych. Ileż to kosztuje nocy niedospanych, ale nie zważają na to i nie ustają w walce, bo miłość dla świętej sprawy bodźca im dodaje. Były wypadki w Raciborskiem, że przy lokalu wyborczym rodzony brat przeciw bratu rodzonemu z kartkami stali.

„Dziennik Poznański“ w swej powadze tego zrozumieć nie może, bo głowę sobie łamie skąd pieniądze się biorą na ten cel i czy to czasem nie jest przekupstwo hakatystów? Na nic nacisk ze strony przeciwnej, zebrania centrowców też nie wiele skutkowały, zapał rósł gdy niespodziewanie jak grom z pogodnego nieba padł krótko przed wyborami ze wszystkich ambon list pasterski (przez niektórych listem krzyżackim zwany). Wprawdzie nie było w nim mowy, że nie powinniśmy na kandydata narodowego głosować, a jednak posiada jakąś siłę magiczną, zdawało się, że większa część słuchaczów jest nim zahypnotyzowana, bo wszyscy odnoszą wrażenie, że to tylko na centrowca trzeba głos oddać. Nic dziwnego! Toć księża przez ten list dostają władzę, mocą której mogą odmawiać rozgrzeszenia i pociech religijnych tym, którzy wbrew ich woli postępują.

Chełpiły się niektóre gazety jak „Now. Rac.,“ że księża przeciw nim nie agitują, lecz niestety, nie długo trwało, przychodzą skargi, że i „Nowiny“ księża czytać zakazują. To też po owym liście jakby laską czarodziejską uderzył. Znam ludzi i takie wioski, które po przeczytaniu listu zupełnie pojęcia zmieniły na korzyść centrowców, *bo tak farasz kazali.* Ci zaś, którzy „Górnoślązaka“ od początku czytują, a do których i ja się także liczę, głęboko ubolewali nad tem, że się chwycono takiego sposobu, aby ubić ruch narodowy. Nic też dziwnego, że płynęła krew w Laura Hucie. Nie jestem zwolennikiem hałasów, ani krzyków, ale czy można brać ludowi za złe, że rozgoryczenie do tego stopnia doszło? Karze się zwykle tego, który podburza do gwałtów, kto daje do tego przyczynę. A kto tu będzie karany? — Posłano mi parę numerów „Dziennika Pozn.“ na okaz, czytam więc, a co znajduję, no, że to strona polska winna, że lud zaczepił centrowców. Jeżeli gazeta polska taki wyrok wydała, czegoż się można od innych spodziewać? Ja radzę „Dziennikowi Poznańskiemu,“ aby się nie ważył swoich numerów na Górny Ślązk pomiędzy lud rozsełać. Niechaj takiemi artykułami zaszczyca wszystkich „poważnych,“ ale niech się nie dziwi, że tych poważnych coraz mniej będzie.

Zaiste trzeba ubolewać nad tem, że odważono się przedewszystkiem ks. kardynała okłamać, że ks. kard. dał się okłamać, i swoją pasterską władzą upoważnił, aby to kłamstwo z ambon rzucone było. Nie jestem osobistym przyjacielem „Górnoślązaka“ więc go w obronę nie biorę, ale wiernym czytelnikiem, a jako taki, muszę powiedzieć, że ustęp o który głównie chodziło, nigdy tak nie brzmiał, jak w liście pasterskim został przedrukowany. Nigdy nie znalazłem w „Górnoślązaku“ bluźnierstw ani przeciw wierze, ani przeciw rzeczom św., ani też „Górnoślązak“ sług bożych nie zohydzał, bo gdyby tak było, to jako katolik i bez listu pasterskiego takiej gazety nie tylko nie czytałbym, ale ją wprost zwalczał. Chwała Bogu, że znalazł się jeszcze i taki sługa Boży, który wydał drugi list jako odpowiedź na list pasterski, a którego brzmienie i słowa są prawdziwie jak na sługę Bożego przystało. Nie przestanę też „Górnoślązaka“ czytać, owszem bardziej polecać. Być może, że niektórzy księża rzeczywiście „Górnoślązaka“ źle zrozumieli, ale kto temu winien? Czy nie oni sami, że tak licho językiem polskim władają?

Pożal się Boże, jak niektórzy księża nawet na kazaniach język polski koszlawią. Ale tego ludowi krytykować nie wolno, bo byłoby to obmową, sług bożych, a w liście pasterskim stoi że język i narodowość to tylko szata, którą dowolnie zmieniać można. Nie dziwcie się, że takie nasienie, taki owoc rodzi.

A co czyniły nasze gazety na Ślązku? Pominąwszy walkę stronniczą, pełno wyzwisk i oszczerstw osobistych, i to bez wyjątku we wszystkich gazetach. Przez to sprawa narodowa jeszcze większego uszczerbku doznała. Potrzeba było silnej woli, aby się nie zrazić; niejeden się ze wstrętem od takich rzeczy odwracał i usuwał od sprawy. Dla błędów należy mieć wyrozumienie, jesteśmy wszyscy ludźmi omylnymi, czy to uczony czy prosty robotnik, ale trwać w błędzie i innych w błędach trzymać, to jest potępienia godnem. Nie przeczę też, jakoby po stronie Tow. Wyborczego żadnych błędów nie było, ale przecież Tow. Wyborcze starało się o zgodę iść ręka w rękę z „Katolikiem, wszak pp. Korfanty i Kowalczyk byli gotowi zrzec się swoich kandydatur na rzecz „Katolika“, wszak byli panowie z Poznania, aby pośredniczyć pomiędzy stronami zwaśnionemi, a jeżeli „Katolik“ to wszystko odrzucał — tego sobie wytłomaczyć nie potrafię. Może miał inne przekonanie polityczne i inne zapatrywanie na sprawę. Dobrze! Szanuję każde jego przekonanie, ale gardzę uporem i samolubstwem. Jeżeli więc „Katolik“ miał inne przekonanie i uważał politykę Tow. Wyborcz. za zgubną dla sprawy Śląskiej, i nie chciał na żadne prośby ręki do zgody przyłożyć, mógł się był cofnąć i trzymać na uboczu, to dałoby się jeszcze wytłumaczyć.

Cóż zaś z tego choćby który z kandydatów centrowych był pochodzenia

polskiego i miał dobre zamiary, jeżeli zniemczony i naszych potrzeb odczuć nie potrafi. Toć nawet jedyny katolikowy kandydat i poseł p. Królik, chociażby nawet był dobrym Polakiem, jakież hańbiące każdego prawdziwego Polaka składać musiał wyznanie polityczne przed centrowcami! Zamiast otwarcie wyznać, że jest Polakiem, głosił, że jest Górnoślązakiem polskiego języka, że potępia wszelki ruch narodowy, że jest wiernym i lojalnym pruskim poddanym. A wszystko to jeszcze nie wystarczało spółbratom centrowcom, bo jak czytałem w Raciborskim Anceigerze, wzywali go Niemcy w Tarnowickim Blacie, aby złożył jeszcze dokładniejsze wyznanie, ponieważ się okazało, że raz będąc w Krakowie, polskie pieśni śpiewał, po rynku się za rękę wodził z Polakami i polską miał przemowę.

Zwalczać kandydatów polskich, składać się z Niemcami, pchać lud w objęcia germanizmu, zapewniać go, że jedynie z pomocą centrowców ostać się może, a wreszcie wmawiać w lud i samego siebie, że to wszystko dla dobra ludu śląskiego potrzebnem jest, to polityka „Katolika“. Przypominają się czasy króla Jana Kaźmierza, gdy ks. Janusz Radziwiłł na spółkę ze Szwedami najeźdźcami, Polskę chciał ratować, i tak samo wmawiał w siebie i w innych, że to koniecznie jest potrzebnem.

Pominąwszy walkę podczas wyborów, pytamy dlaczego „Katolik“ wystąpił po wyborach przeciw już obranemu p. Korfantemu? Tu już „Katolik“ nie walczył przeciw p. Korfantemu, ale deptał wolę ludu polskiego. Groził, że się postara przez ks. Jażdżewskiego, aby p. Korfanty do Koła polskiego przyjętym nie został. Nie, tego „Katoliku” lud ci darować nie może! Nie wyrzekaj na „Górnoślązaka”, że ci czytelników odbiera, szanuj ich wolę a przestań policzkować lud. Przestałeś być polskiem pismem. „Dzien. Śląski“ pisał, że p. Korfanty zawarł haniebną umowę ze socyalistami. Ja zaś w tej umowie wcale hańbiącego czynu nie widzę, ponieważ warunki pod jakimi socyaliści zobowiązali się na p. Korfantego głosować, i tak już były zawarte w jego programie. Zresztą oni sami ofiarowali swoje głosy, Polacy nie żądali żadnego ustępstwa, ani zobowiązali się przecież wyrzekać wiary albo narodowości, ani też głosować za przewrotem państwowym. Każdy z wyborców wolałby, aby kandydaci narodowi zwyciężyli tylko polskiemi głosami, a że do tego nie doszło, któż temu winien, jeźli nie „Katolik,“ który głosy swoich czytelników wolał Niemcom dać.

Jeżeli mimo tylu przeszkód i przeciwności, zdołano jeszcze 43 tysiące głosów polskich otrzymać, to pomyślmy o ile sprawa narodowa korzystniejby się przedstawiała, gdyby „Katolik“ był także pod hasłem narodowem walczył. *A zjednoczonych któżby nas zwyciężył?* Żaden paragraf pruski, ani posiedziciel kopalni. Zarzuca też „Katolik“ „Górnoślązakowi,“ że zbiera owoce jego zasiewu. Niebaczny! Nie pamięta, że przez ten zarzut zadaje kłam swoim własnym twierdzeniom, jakoby lud na Śląsku był jeszcze za mało narodowo uświadomiony. Gdyby tak było, to „Górnoślązak“ występujący pod nowem hasłem nie byłby od razu tylu czytelników uzyskał. Gazeta jest dopóty organem pewnego stronnictwa, dopóki wypowiada myśli i zdanie tegoż stronnictwa; inaczej nie miałaby żadnego znaczenia. To prawda, że o ogólnem uświadomieniu na Śląsku mowy być nie może, ale też nie wiem, czy jest na świecie naród, którego każda jednostka jest narodowo uświadomiona i politycznie wykształcona. Zresztą na hasło „precz z centrum“ lud już niejako czekał. Fałszywem jest jakoby sprawa przez politykę „Górnoślązaka“ była *„o 30 lat cofnięta“* jak pisał „Dzien. Poznański,“ przeciwnie, sprawa *o 30 lat została naprzód posunięta.* Polityka zaś „Katolika“ jest sama ze sobą w sprzeczności. Po wyborach „Now. Raciborskie“ wypisały w Nr. 80 pod tytułem „Z naszych dziejów“ długi ustęp potępiający obecnie centrum. Wyjmuje tylko ostatnie słowa z owego ustępu„ które brzmią: „Wybitniejsi mówcy centrowi jak Fritzen albo Bachem bronili *niby* Polaków, atoli zwykle z różnemi „gdyby i lecz;“ zatem co na obronę wyrzekli, zepsuli znów swojem „wenn und aber.“ Pocóż po wyborach takie artykuły umieszczać kiedy przed wyborami tak się centrum wychwalało?! „Katolik“ i „Dzien. Pozn.“ sądzili, że z biegiem czasu centrum dobrowolnie by się zgodziło na odstąpienie Śląska! Jakby już, kiedy dobrowolnie Niemiec co odstąpił!

„Katolik“ uważał Górny Ślązk wyłącznie za swoj teren, bo półtora roku przed wyborami w odezwie wydanej w sprawie przyszłych wyborów napadł gwałtownie na „Pracę,“ że się wtyka w nie swoje sprawy. Na wydawcę p. Biedermanna rzucił wprost osobiste oszczerstwa nazywając go „przebiegłym kupcem, który ma dobry węch“ i t. d. Jestto wielki błąd jeźli gazety zarzucają sobie „geszeft“ itp. To ostatnie zdanie poczyna pomiędzy ludem coraz bardziej się rozpowszechniać a skutek jest ten, że wielu od sprawy się usuwa.

W końcu zatem chciałbym upomnić gazety, aby zaprzestały ohydnych wyzwisk i oszczerstw osobistych. Kto pracuje ten ma prawo z tego się utrzymywać, niech pracuje w jakim bądź zawodzie, byle tylko *swe powołanie należycie wykonywał.*

F. Z. wierny przyjaciel „Pracy.“

* * *

Z prowincyi saskiej.

W Holzweissig, w powiecie bitterfeldzkim, miał się odbyć świeżo wiec polski. Zgłoszenie tego wieca poświadczył wójt p. Huht, ale przytem dodał, że mowy i rozprawy odbywać się winny tylko w języku niemieckim, inaczej wiec będzie rozwiązany. Już 16 marca b. r. rozwiązano tam wiec polski z powodu rozpraw polskich. Rodacy użalili się do ministra, tenże oddał sprawę prezesowi rejencyi, a ten ostatni landratowi, który odpowiedział, że wójt słusznie zakazał mowy polskiej na wiecu, ponieważ Polacy w tamtej okolicy bardzo dobrze rozumieją po niemiecku.

Nie ma co mówić — coraz to bardziej dają się nam we znaki „nasi najserdeczniejsi.“

Czytelnik „Pracy.“

Kwity pocztowe na „Pracę“ na miesiące sierpień i wrzesień, oraz na „Czytelnię Polską“ na bieżący kwartał zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.


SPQR
ROMA
Pius X.
A. FIEDLER. POZNAŃ

Dział illustrowany.

MAZOWSZE.

Zanim rozpoczniemy w następnym numerze druk szeregu artykułów pt. „Na Mazowszu pruskiem‘‘, dajemy dzisiaj krótki obraz historyczny Mazowsza.

Na rozległym obszarze pomiędzy Wisłą a Narwią, w okolicach przeważnie błotnistych i na całej prawie przestrzeni zalesionych, mieszkało plemię Mazowszan. Granice tego plemienia były nieustalone. Od północy sąsiadowali Mazowszanie z Prusakami i Litwinami, na wschód z Jadźwingami podlaskimi, na zachodzie opierali się o Łęczyczan, a na południe, przebywszy Wisłę, trzymali się lewego jej brzegu, aż po ujście Pilicy.

Mieczysław I starał się nieść w te strony światło wiary chrześciańskiej. Bolesław Chrobry rozszerzył jeszcze bardziej pracę swego ojca, wcielił Mazowsze do swych posiadłości i wprowadził tam urządzenia państwowe, jakie istniały już w Wielkopolsce i w Krakowskiem, urządzenia, polegające na ustroju klasowym, to jest na podziale ludności na stany: urzędniczy, rycerski i kmiecy. Mazowszanie, przywykli od dawien dawna do życia patryarchalnego, niechętnie ten nowy porządek przyjęli, a łącząc pojęcie ustroju klasowego z pojęciem o wierze chrześcijańskiej, wrogimi okazywali się nowym urządzeniom. Ztąd też ze wszystkich dzielnic polskich, na Mazowszu najdłużej pogaństwo się trzymało.

Wybitniejsi z Mazowszan, obdarzeni dostojeństwami, rządzili w imieniu królewskiem, lub też na dworze zajmowali wysokie urzędy. Między nimi był Masław (inni zowią go Mieczsław), podczaszy na zamku krakowskim i poufny Mieczysława Gnuśnego. Po śmierci tego króla, gdy państwo padło łupem wewnętrznego nieładu i drapieżnych z zewnątrz napaści, gdy Czesi najechawszy. Wielkopolskę, zrabowali ją i spalili, kto mógł, uciekał w lasy Mazowsza. Burza czeska przycichła, ale wnet wybuchła inna, na Mazowszu samem, dziwna, tajemnicza, do dziś niezbadana, zwana buntem Masława, on to bowiem stojąc na czele doskonale urządzonych hufców wojennych, walczył przeciw Kazimierzowi I-mu i dopiero w bitwie pod Płockiem, w której mnóstwo ludzi trupem padło, został zwyciężony.

Bunt Masława sprzątnął, niby huragan, wprowadzone przez Bolesława Chrobrego porządki i wiarę chrześcijańską. Dzieło Bolesława podjął na nowo dopiero Władysław Herman i syn jego Bolesław Krzywousty, i w tym celu nawet stolicę państwa z Krakowa przenieśli do Płocka, głównego



Konrad Mazowiecki,
syn Kazimierza Sprawiedliwego i Heleny ks. ruskiej.
Urodz. 1191. Panował na dzielnicy krakowskiej 1230 oraz 1241—1247. Sprowadził Krzyżaków do Polski w r. 1226 i oddał im ziemię chełmińską na własność. Zmarł 1247.

grodu w Mazowszu. Praca szła powoli od południa, ku północy. Zwłaszcza z sąsiednimi Prusakami, zaprzyjaźnionymi a może i pokrewnymi z plemieniem Mazowszan, ciężka była sprawa.

Bolesław Kędzierzawy, otrzymawszy w spadku po Krzywoustym Mazowsze, prawie bezustannie wojował z poganami pruskimi. Gdy sił mu nie starczyło, wezwał na pomoc brata swego Henryka, z dzielnicy Sandomierskiej, który wyprawę przeciw Prusakom, śmiercią przypłacił (1161).

Jeszcze gorzej się działo na Mazowszu po śmierci Bolesława. Rządy objął tu syn jego, młodziuchny, niedoświadczony książę Leszek. Opiekę sprawował nad nim stryj, Kazimierz (Sprawiedliwy), ale ten własnemi zajęty sprawami, do Mazowsza się nie wtrącał. Głównym rządcą był wojewoda Zyrosław. Większa część Mazowsza była jeszcze pogańską i wraz z Prusakami wrogo usposobioną przeciw Polsce chrześcijańskiej.

Leszek Mazowiecki zmarł młodo (ur. 1158, zm. 1185) i bezpotomnie. W myśl ostatniej woli Bolesława Kędzierzawego, Mazowsze drogą spadku, przeszło na Kazimierza, który po śmierci Henryka objął dzielnicę Sandomierską, a po śmierci Leszka — Mazowsze. Powołany po wypędzeniu Mieczysława Starego na tron krakowski, był panem trzech dzielnic, dosyć silnym, aby na Mazowszu jaki taki ład zaprowadzić. Dosyć też było tu spokojnie za jego życia, zwłaszcza gdy mu się udało pokonać Jadźwingów, którzy z nad Bugu łupieżce swe zagony zapuszczali na Mazowsze. Jadźwingowie przyrzekli haracz i uległość, a przyrzeczenie musieli ubezpieczyć wielką liczbą zakładników, którymi obsadzono grody Mazowsza i posługi pełnić im kazano.

Kazimierz, umierając, starszemu synowi Leszkowi Białemu oddał dzielnice: Krakowską i Sandomierską, Mazowsze zaś z Kujawami dostało się młodszemu Konradowi. Chcąc Leszkowi zapewnić dziedzictwo na tronie krakowskim, utworzył z Mazowsza i Kujaw księstwo oddzielne. Istniało ono przez 300 lat przeszło i dopiero za Zygmunta I. (1526), po zupełnem wygaśnięciu rodziny Piastów Mazowieckich, wcielone zostało ostatecznie do posiadłości korony polskiej.

Na Konrada zwalił się ciężar bronienia Mazowsza przed poganami, i dokonania tego, co przodkowie jego zaczęli, to jest nawrócenia Prusaków i przyłączenia ich do państwa polskiego. Miał siły po temu, bo Mazowsze i Kujawy potężną a bogatą były dzielnicą. Ale, niestety, nie dorósł tego zadania. Chciwy władzy i podejrzliwy, okrutny i niewdzięczny, sprowadził na kraj klęskę, która stała się jedną z głównych przyczyn upadku całego państwa.

Kazimierz Sprawiedliwy, znając słaby charakter Konrada, przydał mu

jako opiekuna dzielnego rycerza, Krystyna z Gozdowa wojewodę płockiego. Za jego to głównie staraniem, kwitnął pokój i ład w Mazowszu. Nawet Prusacy, nietylko bali się go straszliwie, gdyż w boju był niezwyciężony, ale i szacunkiem go otaczali. Konrad, zazdroszcząc powagi Krystynowi, kazał go oślepić, a potem, wtrąciwszy go do więzienia, życie mu odebrał (1217). Prusacy dowiedziawszy się, iż „wielki wojewoda‘‘ nie żyje, wpadli na Mazowsze i zniszczyli je doszczętnie. Podobno 250 kościołów wówczas spalili. Konrad, nie mogąc dać sobie z nimi rady, sprowadził do Polski zakon niemiecki (Krzyżaków).

Dzieje Polski świadczą, jak smutnie wywiązali się Krzyżacy z tego zadania. Wtedy to, po długich latach walk, po ujarzmieniu i ochrzceniu pogan, zakreśliła się między Krzyżakami a Mazowszem ta sama granica, jaka dziś oddziela w Płockiem Królestwo Polskie od pruskiej strony (patrz rycinę: Mapa sytuacyjna Prus wschodnich), chociaż w posiadłościach krzyżackich znajdowała się więcej niż połowa ludu mazowieckiego, krwawo nawróconego. Za ten błąd Konrada nie tylko synowie jego, Bolesław i Kazimierz, pomiędzy których po śmierci ojca 1247 r. podzielono Mazowsze, ale także ich wnuki ciężko pokutować musieli. Niestety! i my za ten błąd jeszcze po tylu wiekach ciężko pokutujemy......

W. T.

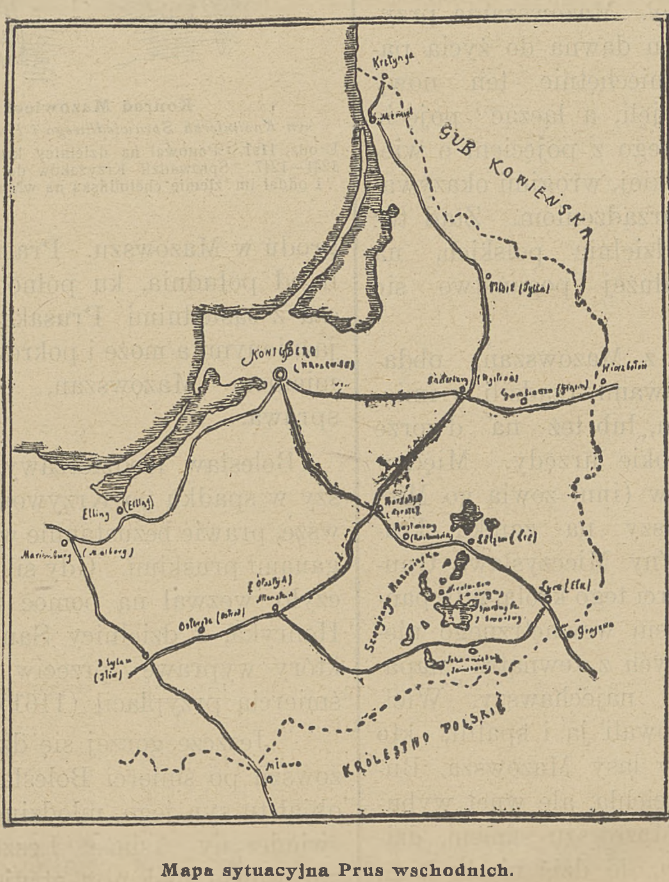
Jak to na Mazurach.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią po dolinie.
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótno wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy,
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.
Na wodzie po Wiśle śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi śpiewka serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej po zielonym gaju
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj cudna to ziemia, to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze i dzieci kraśniejsze
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha,
Gdzie mi się rozśmieje tak raźnie dziewucha,
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką wodę cichą?
Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwonków,
Tyle piosnek w polu, w powietrzu skowronków?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku,
Zkąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Niech ci Pan Bóg szczęści ziemio mazowiecka!
Płakałem nad tobą od małego dziecka,
I myślałem nieraz siedzący na progach:
Czemu tyle krzyży stanęło na drogach?
Bogdajbym nie wiedział, bogdajby mnie była
Ziemia zakopała, woda zatopiła!
Szczęśliwa ta sarna, co biega po lesie,
Szczęśliwy ten powój, co po kłosach pnie się,
Szczęśliwa jaskółka co nad oknem śpiewa,
Ale Polska dusza bardzo nieszczęśliwa.
Oj bracia Mazury krzywda nam się dzieje,
Ojcowską chudobę.................
I na Sybir pędzą i w rekruty gnają,
Oj biją, katują i płakać nie dają.
Wiecie wy, zkąd te gwiazdy i piasek nad Wisłą,
Ile ludzi zginęło, tyle gwiazd zabłysło,
Z każdej łzy ziarenko piasku utoczone,
Te łzy i gwiazdeczki toć niepoliczone.

Teofil Lenartowicz.

Państwo kościelne.

Wobec zgonu Leona XIII i wyboru nowego papieża z pewnością zainteresują Czytelników naszych następujące szczegóły o losach i kolejach Państwa kościelnego: Państwo kościelne lub *papieskie*, *Stato della Chiesa*, *Stato Pontifico* albo *Romano* lub wreszcie *Patrimonium Sti Pietri*, zwało się do 20 września 1870 r. jedyne państwo duchowne położone we Włoszech śródkowych i zostające pod władzą papieża, jako głowy kościoła katolickiego. Do 1860 r. liczyło na 753 mil kw. około 3,125,000 mieszkańców i rozdzielone było na 21 prowincyi; po przyłączeniu zaś w 1860 r. 15 prowincyi do królestwa Włoskiego, liczyło na 214 mil kw. zaledwo 723,000 m. Plebiscytem 2 października 1870 r. przyłączone do Włoch, stanowi obecnie prowincję włoską Rzym, podzieloną na 5 okręgów.



Mapa sytuacyjna Prus wschodnich.



Na czele Państwa kościelnego przed przyłączeniem go do Włoch, stał papież z władzą nieograniczoną. Przy boku papieża, wyjąwszy do spraw kościelnych, było, zwłaszcza do stosunków z państwami obcemi, kolegium kardynałów *(sacro collegio)*, złożone z 70 członków. Zarząd obejmował przedewszystkiem sprawy kościoła Katolickiego i był powierzony rozmaitym wydziałom kurji rzymskiej do czego należały jeszcze penitencyarya i kancelarya papieska albo datarya. Naczelnikiem zarządu politycznego był sekretarz stanu, którym mógł być tylko kardynał mianowany przez papieża. Najwyższemi urzędami wykonawczemi były: sekretaryat stanu (do spraw zagranicznych), ministeryum spraw wewnętrznych (zarazem sprawiedliwości i łaski), dyrekcya generalna policyi, ministeryum finansów, ministeryum handlu, sztuk pięknych, przemysłu i robót publicznych, oraz ministeryum wojny. Rada stanu, złożona z 9-ciu członków rzeczywistych i 6-ciu zastępczych, miała głos doradczy w sprawach prawodawczych i finansowych. Nadto, przez postanowienie z 21 października 1850 r., była ustanowioną konsulta finansowa, złożona z tylu członków wiele było prowincyi z dodatkiem 1/4 części członków, mianowanych bezpośrednio przez papieża. Podług ustawy z 22 listopada 1850, dzieliło się Państwo kościelne na legacye, te na prowincye, rozdzielone na gubernie *(governi)* i gminy. W ostatnich czasach były dwie legacye (rzymska oraz Campagna i Maritima). Na czele każdej legacyi stał kardynał legat; prowincya była rządzoną przez delegata, którym mógł być i świecki. Gubernią zarządzał governatori, podobnie jak poprzedni, mianowany przez papieża. Delegatom i gubernatorom były dodane do pomocy rady prowincyonalne wybierane przez papieża z członków przedstawionych przez rady municypalne. Gminy na zasadzie prawa z 24 listopada 1850 r. podzielone były na 5 klas i zarządzane przez rady municypalne i magistrat. Naczelnik zarządów gminnych zwał się gonfaloniere lub priore, i w mniejszych gminach był mianowany przez sekretarza stanu, w większych przez papieża. — Do spraw sądowych były trybunały pierwszej i drugiej instancyi, w trzeciej instancyi rozsądzał minister sprawiedliwości. Armia było złożoną z ludzi zwerbowanych na lat cztery do ośmiu, z pomiędzy krajowców lub cudzoziemców i w roku 1868 liczyła 16,500 ludzi i 1 080 koni. — Finanse znajdowały się w nader opłakanym stanie. Podług budżetu z r. 1865—66 wydatki wynosiły przeszło 12,671,000 skudów, dochody zaś tylko niecałe 6,490,000 czyli niedobór wynosił przeszło 6,181,000 skudów; podług ostatniego znanego budżetu dochody na rok 1868 obliczone były na 28,845,359 lirów, wydatków zaś na 73,949,803 liry, deficyt więc, po odtrąceniu 18,022,331 lirów, przyznanych przez rząd włoski jako spłatę długów za prowincye aneksowane, wynosił około 27 milionów lirów. Deficyt ten pokrywano po większej części ze świętopietrza.

Państwo kościelne powstało z darowanych 755 r. przez Pepina Małego, króla Franków, papieżowi Stefanowi II posiadłości, należących niegdyś do Egzarchatu, a zdobytych na Longobardach, przeciwko którym wezwał go Stefan II na pomoc. Darowiznę tę potwierdził 774 Karol W., za co otrzymał 800 r. od papieża Leona III koronę cesarską. Silnych obrońców swych posiadłości zyskali papieże w Normanach. Następnie Leon IX otrzymał 1053 r. od Henryka III księstwo Benewentu, poczem Grzegorz VII korzystając z przyjaznych okoliczności, ugruntował władzę świecką i wyzwolił ją z pod wpływu cesarzów. Najwięcej powiększyło się Państwo kościelne przez spadek po Matyldzie, margr. toskańskiej. Papież Innocenty III († 1216) był uznany jako władzca Rzymu. Od niebezpiecznych sąsiadów z domu Hohenstaufów uwolniła się stolica apostolska, powoławszy 1265 na tron neapolitański dom Anjou. Władza papiezka wzbudziła opór ze strony niezadowolonych Rzymian do tego stopnia, że 1305 r. papieże uważali za konieczne przenieść stolicę do Avignonu we Francyi, który Klemens VI nabył 1348 r. od królowej Joanny Neapolitańskiej. Dopiero 1376, po powrocie do Rzymu, pomyślano na nowo o powiększeniu Państwa kościelnego.

Juliusz II zdobył 1513 Bolonję,



Kościół pozawatykański San Giovani di Laterano w Rzymie, który Leon XIII obrał sobie za miejsce wiecznego spoczynku.

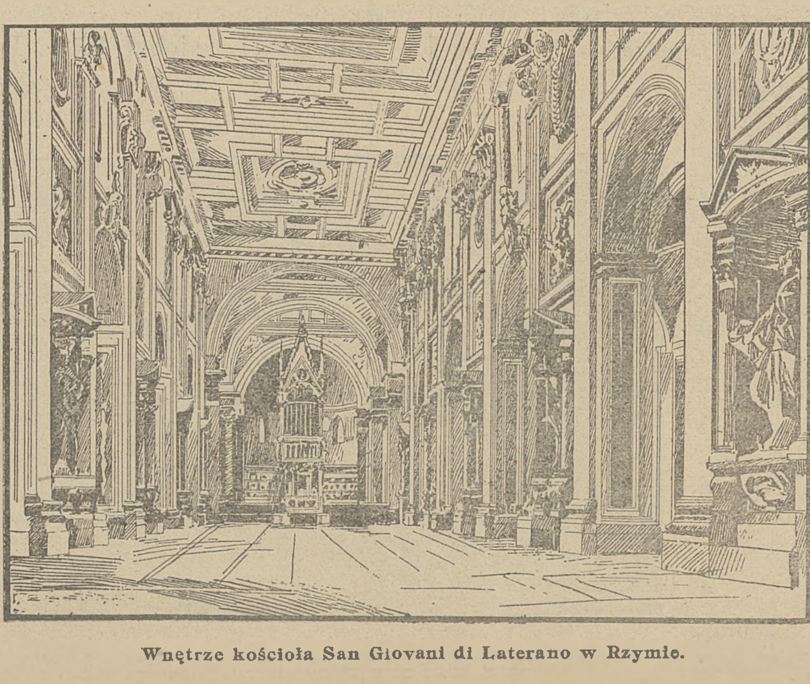
Klemens VII zajął 1532 Ankonę; następnie przyłączono 1598 Ferrarę, a 1626 Urbino. Wskutek reformacyi utracili papieże wielką część ze swego świeckiego i duchownego wpływu i odtąd stopniowo datuje się upadek świeckiej władzy papieżów. 1783 r. zerwał Neapol dawne stosunki lenne, łączące go ze stolicą apostolską. Pokojem 13 lutego 1798 w Tolentino zmuszony był papież odstąpić Francyi Avignon, zaś rzeczypospolitej cyzalpińskiej Romanję, Bolonję i Ferrarę. Powstanie w Rzymie przeciwko Francuzom (28 grudnia 1797), spowodowało zajęcie Rzymu 10 lutego 1798 i ogłoszenie 18 lutego t. r. Państwa kościelnego rzeczpospolitą rzymską.

Pius VI był wywieziony do Francyi, gdzie umarł 1799 r. Zwycięztwa wojsk rosyjskich i austryackich sprawiły, że nowy papież, Pius VII, mógł objąć napowrót władzę w Rzymie. Na mocy konkordatu, zawartego przez Piusa VII z Napoleonem, utracił papież większą część pozostałych posiadłości. Gdy następnie 1807 wzbraniał się Pius wprowadzić kodeks Napoleona i wypowiedzieć wojnę Anglji, wkroczyły wojska francuzkie do Państwa kościelnego, poczem prowincje Ankona, Urbino, Macerato i Camerino wcielone zostały do królestwa Włoskiego i w posiadaniu papieża pozostał tylko kraj leżący po za Apeninami. Jednakże już 2 lutego 1808 wszedł korpus francuzki do Rzymu, i papieżowi, któremu pozostawiono najwyższą władzę duchowną, wyznaczono 2 mil. franków rocznej pensyi, poczem dekretem z 17 maja 1809 wcielono Państwo kościelne do Francyi i Rzym ogłoszono jako wolne miasto cesarskie. Papież został wywieziony do Francyi, gdzie pozostawał do 1814, w którym powrócił do Rzymu i odzyskal dawne posiadłości, z wyjątkiem niewielkiego okręgu Ferrary, leżącego z drugiej strony rzeki Po. Po restauracji starał się Pius VII i jego następcy: Leon XII, Pius VIII, a zwłaszcza Grzegorz XVI ugruntować zarówno wewnątrz i zewnątrz władzę papiezką, jednakże stawały temu na przeszkodzie rozbudzone polityczne i narodowe uczucia. Historja Państwa kościelnego łączy się odtąd najściślej z historją Włoch. Wybuch w Modenie (z 3 na 4 lutego 1831) spowodował powstanie w Bolonji, które wkrótce ogarnęło całą prowincyę i było dopiero stłumione przez wojska austrjackie. 1832 przyszło do nowego powstania, wskutek którego Austrjacy wkroczyli do Bolonji, poczem Francuzi zajęli Ankonę; tak jedni, jak i drudzy opuścili Państwo kościelne w 1838 roku. Panowanie Grzegorza XVI powodowało ciągłe niezadowolenia ludności Państwa kościelnego i dawało powód do powtarzających się powstań (1843 w Romanji, 1845 w Rimini). Wybór Piusa IX był przyjęty z wielkim entuzjazmem, gdy tenże rządy swe rozpoczął z wielką łagodnością i ogłosił amnestję dla przestępców politycznych, przedsięwziął rozmaite reformy w zarządzie i dozwolił ogólnego uzbrojenia obywateli.

Początki panowania Piusa wywarły potężny wpływ nietylko na cały półwysep, lecz i na ogólne wypadki europejskie. Idąc za przykładem innych państw, nadał Pius 14 marca 1848 r. ustawę konstytucyjną, potem widział się zmuszonym utworzyć ministerjum liberalne (Mamiani) i zwołać zgromadzenie stanów. Ale na każdym kroku widać było niemożność pogodzenia rządu duchownego z wymaganiami narodowego i liberalnego stronnictwa. Zwycięstwa Austrjaków obudziły w rządzie papiezkim nadzieję owładnięcia ruchem. W tym celu po ustąpieniu Mamiani'ego powołał Pius we wrześniu 1848 do utworzenia gabinetu hr. Rossi. Jednakże 15 listopada Rossi został zamordowany, i Pius przez ruch ludowy zmuszony został do utworzenia gabinetu z żywiołów demokratycznych. W skutek tych wypadków Pius schronił się 25 listopada do Gaety, poczem utworzony w Rzymie rząd prowizoryczny, zwołał pod koniec grudnia zgromadzenie ustawodawcze, którego pierwszym czynem było zniesienie władzy świeckiej papieża i ogłoszenie rzeczypospolitej (luty 1849). Na czele rządu stanął tryumwirat, złożony z Armellini'ego, Saffi'ego i Mazzini'ego. Tymczasem mocarstwa katolickie postanowiły wykonać interwencyę dla przywrócenia władzy papieskiej, i podczas gdy wojska austryackie zajęły legacyę, wylądowały w kwietniu 1849 r. wojska francuskie pod dowództwem Oudinota, i po zaciętym oporze zajęły 2 lipca Rzym, poczem ogłoszono przywrócenie władzy papieskiej.

Pius powrócił w kwietniu 1850 r. do Rzymu i rozpoczął dzieło restauracyi prześladowaniem skompromitowanych i poszlakowanych. Od tego czasu pozostala w Państwie kościelnem załoga francuska. Podczas wojny włoskiej, gdy bitwa pod Magentą położyła koniec panowaniu austrackiemu w Środkowych Włoszech, wyzwoliły się z pod władzy papieskiej Bolonja i Romanja. Po pokoju w Villafranca prowincje te połączyły się z Emilią (Parma, Modena, Romanja) pod dyktatorem Farini'm i na mocy głosowania powszechnego wcielone zostały 18 marca 1860 do kr. Sardynii.

Po zawarciu pokoju wojsko papiezkie zostało znacznie wzmocnione, zwłaszcza przez zaciągi z cudzoziemców, i dowództwo nad niem powierzone generałowi Lamoriciere. Ciągłe wybuchy powstańcze w Państwie kościelnem skłoniły hr. Cavoura do przedsięwzięcia w interesie jedności włoskiej zbrojnej interwencji. Gdy napróżno domagał się 7 września 1860 od rządu papiezkiego rozwiązania wojsk obcych, wkroczył 11 t. m. korpus sardyński do Państwa kościelnego i rozbił 18 t. m. armję papiezką pod Castelfidardo. Resztki wojsk papiezkich schroniły się do Ankony, gdzie 29 września kapitulowały. Umbrja i Marchja ogłosiły się za przyłączeniem do rzeszy Wiktora Emanuela, poczem po odbytem głosowaniu publicznem, wcielone zostały dekretem 17 grudnia do nowego królestwa Włoskiego. Papieżowi pozostało tylko tak zwane *Patrimonium Sti Petri* posiadanie którego zapewnił mu korpus



Wnętrze kościoła San Giovani di Laterano w Rzymie.

okupacyjny francuzki. Gdy po upadku Gaety, przeniósł się do Rzymu były król neapolitański i rozpoczął ztąd, jawnie wspierany przez władze papiezkie, nieprzyjazne usiłowania i zamysły przeciwko jedności włoskiej, stronnictwo ruchu gwałtownie domagało się zajęcia terytorjum papiezkiego i wcielenia go do królestwa Włoskiego. W marcu 1861 roku, nawet parlament włoski uznał Rzym za naturalną i konieczną stolicę państwa. Wszelkie przełożenia papieżowi w przedmiocie złożenia władzy świeckiej rozbijały się o niewzruszone „Non possumus.“

W końcu stronnictwo czynu, mając na czele Garibaldi'ego, schwyciło za broń, mając zamiar zdobyć Rzym i dopełnić tym sposobem jedności włoskiej. Wdanie się rządu włoskiego wkrótce zakończyło to przedsięwzięcie (ranienie Garibaldi'ego pod Aspromonte, 29 sierpnia t. r.) 15 września 1864 zawarł Napoleon konwencję z Włochami, mocą której obowiązał się do wycofania w ciągu dwu lat załogi francuskiej z Rzymu, podczas gdy rząd włoski zobowiązał się nietylko nie zaczepiać posiadłości papieskich, lecz bronić ich od wszelkich napadów z wewnątrz, nadto Włochy przyjęły na się część długów papieskich. Rząd papieski spodziewał się pierwotnie, przy pomocy ultramontanów francuskich, znieść tę konwencję, nie widząc jednak nadziei wykonania tego, wziął się do reorganizacji armji. 11 grudnia 1866 reszta wojska francuskiego opuściła Rzym, i chorągiew francuska była zdjętą z zamku św. Anioła, poczem wojska włoskie rozciągnęły kordon wzdłuż granicy papieskiej, ażeby stawić czoło wszelkim ruchom rewolucyjnym z zewnątrz. Również i partja narodowa w Rzymie (comitato Romano) wezwała do spokojnego oczekiwania rozwiązania kwestji. Spokój był niczem nie zachwiany, i Pius IX mógł z wielkim przepychem odbyć 29 czerwca 1867 uroczystość 1000-letniej rocznicy śmierci św. apostołów Piotra i Pawła. Wkrótce potem partja czynu uznała, że nadeszła sposobna chwila do rozwiązania kwestji rzymskiej. Pod koniec września t. r. wkroczyły do Państwa kościelnego oddziały ochotników, pod wodzą Menottiego Garibaldiego, lecz doznały porażki od wojsk papieskich. Wybuchłe 22 października powstanie w Rzymie było również przytłumione. Niebezpieczniejszem stało się powstanie dopiero wtedy, gdy dowództwo objął Garibaldi i na czele 5,000 ochotników posunął się pod Rzym. Wtedy, po długiem ociąganiu się, przedsięwziął Napoleon interwencję, i 30 września wkroczyły pierwsze dwa bataljony francuzkie do Rzymu. Tego samego dnia wojsko włoskie, pod wodzą Cialdini'ego, weszły do Państwa kościelnego.

Cialdini napróżno wezwał Garibaldi'ego, ażeby się cofnął po za wojska włoskie; obarykadował się on w Monte-Rotondo i przyległej Montanie, które to stanowiska zdecydował się opuścić 2 listopada, gdy już było za późno, nazajutrz bowiem zaszła walka pomiędzy Garybaldczykami a wojskiem papiezkiem, wspieranem przez Francuzów, w której pierwsi ponieśli znaczne straty („szaspoty cudów dokazały“). Garibaldi z resztą oddziału, około 4,000 ludzi, schronił się na grunt włoski, gdzie został rozbrojony; również i regularna armja włoska, na domaganie się Napoleona, opuściła 5 listopada terytorjum papiezkie. Część oddziału francuzkiego pozostała, jako korpus okupacyjny w Civita-Vecchia. W następstwie zajęto się wzmocnieniem armii i przygotowaniem do soboru powszechnego, który Pius zwołał 29 czerwca 1868, i który zebrał się w Watykanie 8 grudnia 1869 roku.

Ogromne koszta tego zgromadzenia do reszty zrujnowały skarb papiezki. Wybuch wojny francuzko - niemieckiej spowodował nareszcie katastrofę, która położyła koniec władzy świeckiej papieża. Korpus okupacyjny francuzki opuścił 30 lipca Civita-Vecchia. Antonelli napróżno szukał obrony u Austrji i Prus i rząd papiezki pozostał zupełnie na łasce Włoch, które pozostały wierne konwencji Wrześniowej. Dopiero po upadku Napoleona, Wiktor Emanuel, ulegając partji ruchu, wysłał do papieża 8 września hr. Ponza di San Marino, z oznajmieniem, że w interesie bezpieczeństwa Włoch i stolicy apostolskiej widzi się zmuszonym zająć Rzym. 11 t. m. wkroczyły wojska włoskie do Państwa kościelnego i 20 t. m. generał Cadorna, po pięciogodzinnej kanonadzie, wszedł do Rzymu. Po powszechnem głosowaniu 2 października (133,681 tak i 1,507 nie) dekretem z 7 października 1870 wcielił Wiktor Emanuel Państwo kościelne do Włoch.

S. O. E. P.

Nad trumną śp. Papieża Leona XIII.

Kirem żałoby ziemia się odziała,
Bo wieść Hiobowa w jej dziatki uderza...
Gdy siła śmierci Ojca nam zabrała,
Ukochanego Leona — Papieża!
Zakończył życie... ten Jubilat miły,
Który najdłużej stał na Piotra skale —
Wśród burz, tak mężnie, pełen Bożej siły,
Prowadził Kościół ku niebu i chwale!
Zakończył życie... Wielki Dyplomata,
Który tak mądrze wszystkiem pokierował,
Że praca Jego sławna pośród świata,
Nią Kościołowi tryumf przygotował!...
Zakończył życie... Przyjaciel nasz drogi!
Który miał w sercu naród skołatany;
Co wspólnie jego czuł los przykry, srogi,
Za nim się modlił do Pana nad Pany!
Zakończył tutaj... lecz żyć będzie w niebie,
O co gorąco nośmy szczere pienia:
By duszę Jego przyjął Pan u Siebie,
Do bram wieczności, do portu zbawienia!

B. Laurentowski.

Poniec, 24. 7. 1903.

Sensacyjne odkrycie.

Półurzędowy „Fremdenblatt“ powtarza za berlińskim tygodnikiem Hardena „Zukunft“ artykuł b. prezydenta ministrów w Serbii dr. Władana Georgewicza, w którym ten między innymi twierdzi, że król Aleksander uknuł sam w porozumieniu z Dragą formalny zamach na życie Milana, gdy tenże oświadczył, że uczyni wszystko, co w jego mocy, aby nie dopuścić do małżeństwa syna z Dragą. Zamach wykonany został 6 lipca 1899 przez Knezewicza. Kula drasnęła lekko Milana, a zraniła ciężko adjutanta majora Lukicza. Na wieść o zamachu chciał Georgiewicz, bawiący w tym czasie na kuracyi w Marjenbadzie, natychmiast do Serbii powrócić, wstrzymany jednak został telegramem króla, zakazującym mu powrót, który mógłby być w oczach Europy fałszywie wytłómaczony. Obawy Knezewicza uspokojono obietnicą bezkarności i skłoniono go do fałszywych zeznań. W czasie sądu zachowywał się on wyzywająco, bo czuł za sobą poparcie króla. Drugiego wspólnika zamiarów Aleksandra, prefekta Andjelicza, uduszono w obawie obciążających króla zeznań. W dniu zamachu żądał król od ministrów uwięzienia wszystkich przywódców radykalnego stronnictwa, nie podając żadnych przyczyn, usprawiedliwiających tego rodzaju gwałt. W czasie obrad zawezwał król komendanta drugiej brygady kawaleryi Aleksandra Konstantynowicza i spytał się go w obliczu wszystkich ministrów: „Czy spełnisz bez wahania mój rozkaz, jeżeli ci nakażę wystrzelanie tych zdrajców, których nazwiska ci wymienię?

Konstantynowicz i ministrowie osłupieli. Pod grozą masowego rozlewu krwi, zgodzili się więc na żądanie uwięzienia niemiłych królowi oponentów, aby nie dopuścić do wykonania rozkazu

Aleksandra, danego Konstantynowiczowi. Król żądał dalej zaprowadzenia stanu wyjątkowego i sądu doraźnego dla uwięzionych radykałów. Sprzeciwili się temu Milan i cała rada ministrów. Aleksander zagroził wówczas abdykacyą, kóra według wyraźnego oświadczenia Milana, że nie powróci nigdy na tron, usuwała zupełnie dynastyę Obrenowiczów od rządów. Wybrano wreszcie sędziów i ci skazali Knezewicza na śmierć. Do tego wyroku przyczyniła się interwencya rządu austryackiego, a król Milan dowiedział się dopiero znacznie później o właściwych zamiarach swego syna.

Po ogłoszeniu zaręczyn Aleksandra z Dragą podał się Georgewicz wraz z całym gabinetem do dymisyi. W ich ślady wstąpili niemal wszyscy dostojnicy wojskowi i cywilni, kanclerz, urzędnicy dworscy i t. d. A skoro i ten wyraźny objaw niechęci nie wywarł pożądanego skutku i król oświadczył stanowczo, że poślubi Dragę, która znaną była z tego, że poprzednio odegrała już z powodzeniem komedyę ciąży, w celu zdobycia środków materyalnych, postanowiono nie uznać w całej armii Dragi za królowę i udano się do pałacu, aby króla o tem zawiadomić. Wszyscy oficerowie oświadczyli, że wystąpią z wojska, jeżeli król nie wysłucha ich prośby. W odpowiedzi na to powołał Aleksander nowe ministeryum. Ponieważ większość poważnie myślących polityków odmówiła przyjęcia portfelu, złożył król rząd, składający się z samych swoich zwolenników. Był tam między nimi były stenograf skupczyny, wydalony ze służby sekretarz legacyjny I. klasy, jeden z krewnych Dragi i t. d. Nawet ci obawiali się ofiarowanych im stanowisk, uspokoiło ich dopiero zapewnienie króla, że car rosyjski i prezydent skupczyny będą świadkami jego ślubu. W ten więc sposób powstało owo ministerstwo, nazywane pogardliwie ministerstwem ślubnem, 12-go lipca 1900.

W całej armii znalazł się wówczas tylko jeden oficer, który przyjął dowództwo nad armią. Był nim generał Dymitr Zinzar Markovicz. Był on poplecznikiem Dragi i jego zręczności udało się nie dopuścić do jawnego protestu całego korpusu oficerskiego przeciw zamierzonym ślubom króla.

Gdy Milan za granicą z wiedzą syna starał się o pozyskanie dla Aleksandra ręki jednej z księżniczek niemieckich, król ogłosił swoje zaręczyny z Dragą, która była jego metresą. Wszyscy ministrowie podali się skutkiem tego do dymisyi, a Milan napisał do syna list ,w którym pomiędzy innemi powiada: „Żaden feldfebel nie śmiałby się tak ożenić, jak wasza królewska mość!“ Aleksander w mowie tronowej publicznie zbezcześcił swojego ojca, a gdy pułkownik Simonowicz kilka słów raz wypowiedział w obronie matki króla, Natalji, Aleksander zawołał:

— Przecież wiem, — ona jest twoją...

Tak mówił Aleksander o swojej matce. Król i królowa zdeprawowali, w bagno zepsucia moralnego wciągnęli przemocą swoje otoczenie. „Zapytuję — pisze dr. Władan Georgewicz — pana Marszitjana, który podczas całej „dragiady“ był prefektem Belgradu: Czy prawdą jest, że król Aleksander kazał żandarmom wszystkie córki pewnego ministra zawlec do domu nierządu? Jedna z tych panienek umarła ze zgryzoty. Pan Marszitjanin może spokojnie powiedzieć prawdę, tem spokojniej, że więcej ludzki od koronowanego zwierza, starał się rozkaz obejść. Jeszcze setki, jeszcze tysiące takich skandalów mógłbym przytoczyć. Król stracił ostatnie resztki wstydu, pocieszał się po każdym występku słowami: „Svako csudo za tri dano.“ (O każdym cudzie mówi się tylko przez trzy dni). Gdy belgijski poseł w Belgradzie swojemu rządowi przysłał pewien akt państwowy króla Aleksandra, nadeszło z Brukseli do sekretarza belgijskiego poselstwa zapytanie, czy też poseł belgijski jest zdrowy, tak ów akt był sensacyjny. Gdy car wysłał do Belgradu profesora Sniegirewa, który wreszcie zmusił Dragę do poddania się oględzinom lekarskim i odkrył jej oszustwo z ciążą, król kazał go uwięzić i wybatożyć.“

W zakończeniu artykułu opowiada Georgewicz o historyi następstwa tronu w Serbii. Odnośne przedłożenie, które miało być podane skupczynie, mianujące brata Dragi Nikodema Lunjevicza następcą tronu, było już gotowe. I to spowodowało prośbę o dymisyę nawet tak gorliwego zwolennika Aleksandra, jakim był Markowicz. Prośba ta wniesioną została na kilka godzin przed zamordowaniem króla.

K. L.

Kozak-Polak.

WSPOMNIENIE Z SYBERYI z 1863-go r.

przez *Agatona Gillera.*

Gdy przechodziłem ulicą Kiachty, do ucha mego doleciał głos skrzypiec, a z niemi znane polskie ludowe melodje. W chacie malutkiej i niziutkiej rznął ktoś krakowiaka „alboś my to jacy tacy, jacy tacy — chłopcy krakowiacy, chłopcy krakowiacy.“ Stanąłem i zacząłem się wsłuchiwać w rytm ukochanej muzyki, i poczułem, że mi serce zadrgało i łza gwałtem wydobywała się z oczu. Otarłem ją, żeby nie obudzić ciekawości ludzi, którzyby nie pojęli łzy, wydobytej brzmieniem melodji, i nastroiłem duszę do wrażeń, które tłumnie wraz z wspomnieniami do niej się cisnęły. Muzykant grał prawdziwie po krakowsku; zacięcie smyczka energiczne — ton za tonem płynął harmonijnie, płynnie, z ową fantazją rzeczywistą, jaką odznacza się gra wszystkich naszych parobków. Muszkuły moje zaczęły w ruch przychodzić, a wtorując głosem i nogą krakowskiemu graniu, wszedłem do chaty, gdzie siedział sam jeden, bez słuchaczy muzykant, i na czerwono pomalowanych skrzypkach, z pochyloną głową, błyszczącemi oczami, wybijając takt nogą, grał pocieszając muzyką boleści i tęsknotę swoją.

Był to człowiek nie wielkiego wzrostu, szeroko-pleczysty, jak wszyscy krakowiacy. Twarz biała, rumiana, od słońca pociemniała, miała w sobie ów wyraz dobroci, szczerości i dzielności, jaka charakteryzuje oblicza naszych szczególniej krakowskich włościan. Była to twarz miła i podobać się mogła! włosy ciemne, oczy błękitne, nos lekko ale nie zanadto zadarty — z pod skóry na brodzie ciemniał czarny zarost, a cała fizjognomja ożywiona jakimś poetycznym ogniem, sympatję dla grajka budziła.

Przywitaliśmy się po polsku i prędko byliśmy z sobą jakby od dawna znajomi.

Prosiłem go, żeby wziął znowuż skrzypce i wyrznął mi polskiego.

— Zagram panu zabronione w Polsce — śpiewy.

— Dobrze, graj Janku; zabraniają nam grać w Polsce nasze serdeczne śpiewy; tu nam nie są wstanie ich zabronić. Graj więc.

I zagrał Janek. Marsz Dąbrowskiego, a potem — Trzeciego maja. Chłopickiego mazura i wiele innych śpiewów, które budzą życie, a których słuchanie w każdym Polaku obudza zapał, uniesienie serca, a w niem te uczucia, które wywołuje muzyka wojennych działań. Janek grał dobrze i dużo umiał grać, chociaż nut nie znał. Zaśpiewałem mu melodję do wstępu Pieśni o Ziemi naszej i zaraz ją wygrał.

— A szląskie sztuki będzie pan słuchał? — i zagrał kilka polek, walców, z doskonałością i biegłością, która okazywała wiele zdolności i wprawy muzykalnej. Lud nasz lubi skrzypce, a rzępolenie jego nie raz bywa przy-

jemniejsze od grania skrzypka, dającego koncerta w różnych miastach Europy. Ma on dużo talentu i usposobienia muzykalnego, gdy Bóg da, że lepsza zaświeci nam dola, gdy wolność, dobry byt i oświata będzie udziałem naszego ludu, wyda on z grona swego mnóstwo niepospolitych mistrzów.

Janek był kozakiem; jakim zaś sposobem skozaczyli go, dowiedzą się czytelnicy z przygód jego życia, które w późniejszym czasie z jego opowiadania poznałem.

— Ojciec mój — mówił Janek — był gospodarzem w Olkuskim powiecie. Włóczył się też on jak i ja teraz po świecie. W 1831 r. był żołnierzem, a powróciwszy z panem do domu, wychowywał trzech swoich synów. Jeden tylko z nas pozostał w domu i dzisiaj ma żonę i gospodarkę. Drugiego brata wzięli Moskale do wojska i ani słychu o nim nie ma, przepadł jak kamień w wodzie. Ja nauczyłem się czytać nabożne książki, od dziecinnych lat grywałem na piszczałce, a potem i na skrzypcach. Gdym już podrósł i pasłem owce, ze skrzypką chodziłem w pole, a w święta grywałem dziewuchom i chłopakom do tańca w karczmie. Pewnego razu posłał mnie ojciec pod Miechów; tam jak chłopcy usłyszeli moje granie, nie chcieli mnie puścić od siebie i dwa tygodnie wozili z wesela na wesele, częstując a zapraszając, żeby się jeszcze między nimi zostać. Oj tędzy to i skorzy są do bitwy ci Miechowianie! W jednej karczmie, gdy się panowie do dworu zjechali, furmani ich poszli do karczmy i chcieli wszystkich parobków wygnać ztamtąd, a sami się bawić. Wszczęła się straszna bitwa, mnie skrzypce złamali, furmanów odpędzili, a ile to nogawic, pół od surdutów zostało, ile to w karczmie natłukli, a i krwią nie jeden się oblał. Kupili mi skrzypce i nareszcie do domu odesłali. Ojciec mój turbował się bardzo o mnie i myślał, żem zginął, albo że mnie Moskale zabrali. Byłby mi skórę wyłatał, żem tak długo siedział, ale pieniądze, które mi dawali na weselu, rozbroiły jego gniew. Nie długo jednak takie wesołe życie pędziłem; mój Boże — żeby to jeszcze te czasy wróciły się, żeby to choć jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć Polskę, pomodlić się w Częstochowie, i chociaż kości moje tam złożyć! Bo cóż to u nas za wesołość! proszę pana i muzyka i taniec, a jak to ptaki tam śpiewają, drzewa kwitną? a tu ani zabawy, muzyki nie lubią, nie ma ptaków śpiewających, ani takiego zapachu od drzew kwitnących. Oj! nie ma, nie ma nadziei powrócić — a poszedłbym w jednej koszuli, o żebranym chlebie, byle tylko jeszcze raz Polskę zobaczyć!

I mnie Moskale chcieli wziąść do wojska, uciekłem więc za granicę do Górnego Szlązka, gdzie lud jest bardzo dobry, dobrze żyje, muzykę lubi i czysto koło niego. Dostałem się do kopalni węgla, i długo przy królewskiej hucie, koło Gliwic, Pszczyny — pracowałem. Trudno mi było z początku, ale potem człowiek się przyzwyczaił, był zarobek i dobrze się mi działo. Robota w kopalni bardzo ciężka, często wypadki bywają to zasypie, to skaleczy — a w lazarecie mnóstwo jest kalek, tak oszpeconych, poranionych, chromych, że aż strach spojrzeć. Ja pewnego razu pracując kilofem usłyszałem śmiech skarbnika*). Przestraszyłem się ogromnie, a ludzie mi mówili, żeby być ostrożnym, bo jakieś mnie nieszczęście czeka. Jakoż wkrótce i zdarzyło się nieszczęście. Pracowało nas kilku w korytarzu podziemnym, słuchamy, aż tu coś zaczyna trzaskać i walić się — węgle z góry zsypały się, zawaliły korytarz i my w dziurze małej jak ta izba zostaliśmy pod ziemią, nie mając żadnej nadziei wydobyć się ztamtąd. Oj strach to był wielki, zbledliśmy jak trupy, i klękliśmy, żeby modlitwę odmówić. Lampy innym pogasły, mnie tylko świeciła, obejrzałem ściany i znalazłem małą dziurę, przez którą można się było w inne miejsce kopalni dostać, przecisnąłem się jak piskorz a za mną inni, a ledwośmy ztamtąd wyleźli, usłyszeliśmy jak strop tej komory, w której pracowaliśmy, zawalił się. A przy hucie, to jeszcze trudniejsze roboty: raz pękł kocioł, wielu pozabijało, niektórym oczy wyparzyło — a jednak proszę pana, choć trudno, milej mi tam było jak tutaj. Z robotnika zrobili mnie majstrem i dobrze mi się działo. Polubiłem też tam jednę wdowę, młodą kobietę: miała dom swój gospodarstwo i ubranie. Chciałem się z nią żenić, ale że to ja byłem z Polski, a nie poddany pruski, żaden ksiądz nie chciał dać ślubu, podawałem prośby do rządu, urzędnicy na różne formalności dużo ściągali ze mnie pieniędzy, a nic nie zrobili. Nie mogąc wziąść ślubu, żyłem z nią na wiarę; w rok po mojem wyjściu ztamtąd wyszła za mąż. Pisała do mnie, gdym był w wojsku, do Rosyi, skarży się biedaczka, że mąż jej pijak i ladaco.

Większa połowa robotników (górników) w kopalniach i hutach górnośląskich z Polski przybyła, uciekając przed niewolą i wojskiem **). Dawniej rząd pruski przyjmował, teraz wydaje nas Moskalom, jednak nie wielu wydał, bo gdyby był wszystkich wydał, to huty by stanęły, a w kopalniach nie byłoby komu robić. Fabrykanci więc nas bronili u rządu, i tak tam nas trzymali. Byli też pomiędzy nami i Moskale, którzy z wojska uciekli. I tym się dobrze powodziło, ani poznać w nich Moskali, nauczyli się po polsku, i w naszych kościołach się modlą, a niektórzy pożenili się tam. Raz jużem chciał do Ameryki pojechać. Jeździli tam od jakichś towarzystw ludzie, namawiali, żeby płynąć do Ameryki. Dużo Polaków naszych nie mogąc do domu wrócić, pojechało z nimi, i teraz pracują przy fabrykach w Ameryce, jeden wrócił do nas, żeby więcej Polaków, jako dobrych do roboty, zabrać z sobą, i mówił, że im tam bardzo dobrze się powodzi. Teraz żałuję, żem nie pojechał do Ameryki, boćby mi tam zawsze było lepiej niż tutaj. Ale cóż tam, widać taka była wola Boża. Jak ten nowy cesarz wstąpił na tron, wydał manifest, że nam wolno do Polski wrócić, więc wielu pomiędzy nami pewni będąc, że po powrocie żadne im niebezpieczeństwo nie grozi, poszli do Polski. Mędrsi zostali, bo pokazało się, żeśmy się okropnie zawiedli ***). Ułaskawionych, niektórych zostawili w domu, a większą liczbę w kajdanach bez sądu, posłali do wojska, i mnie wzięli i zaprowadzili do Olkusza, a ztamtąd związawszy mi w tył ręce powrozami, posłali transportem do Radomia. Okropna to była podróż. Ludzie patrząc na mnie związanego, wołali: złodzieja prowadzą; a ja, Bóg świadkiem, nikomu nigdy krzywdy nie zrobiłem. Gadania te okropnie mnie bolały — one sprawiły, że chociaż byłem niewinny, w oczy spojrzeć nie śmiałem. Nie mają proszę pana litości dla aresztantów, uciekają od każdego i wołają, że to złodziej — przecież powinni byli się już nauczyć litości dla niewolników, boć to i po wojnie mnóstwo uczciwych lu-

*) Skarbnik, według gminnej wiary, jest to duch kopalni. Chodzi pod ziemią w ubiorze górnika z lampą. Zjawienie się jego jest wieszczbą nieszczęścia. Czasem rozmawia z górnikami, zapala od nich swoją lampę, nikomu nic złego nie robi, pilnując skarbów podziemnych, tylko ostrzega o nieszczęściu.

**) Wszystkie szczegóły są prawdziwe. W Górnym Szlązku rzeczywiście kilkanaście tysięcy ludzi znalazło dawniej schronienie przed surowością służby rosyjskiej.

***) Manifest dla tych biedaków, dla tej emigracyi ludowej, był wędką zręcznie rzuconą. Dużo się na nią złapało, emigrantów politycznych, którzy według form wracali z głośniejszemi nazwiskami, oszczędzono, bo wiedziano, że wysłanie ich, dużo narobiłoby hałasu — tych zaś biednych, o których nikt bardzo nie troszczył się, zawiedli, pobrano ich bowiem do wojska, zapędzeni zostali do Rosyi w kajdanach, a wielu z nich ztamtąd wysłano do Serbii na osiedlenie kozackie.

dzi tak prowadzili Moskale, i co rok dużo niewinnych w podobny sposób pędzą. Przyjemniej i łatwiej byłoby znosić takie nieszczęście, gdyby był człowiek słyszał dobre słowo od przechodzących i żałość na twarzach widział. Tak skrępowanego przyprowadzili mnie do Wolbroma. Był tam jakiś szelma burmistrz bez żadnej litości, kazał mnie i innym przyprowadzonym, cały dzień drzewo rąbać, a nie dał nam 10 groszy strawnego, które się nam od skarbu należały. Na noc posadzili nas głodnych w jakąś brzydką izbę, nie było na czem ledz, tylko dwie garstki zgniłej słomy w kątach leżało. Na nogi wbili nam kłodę drewnianą i na łańcuchu przybili do ściany. Oj płakałem też, mój Boże, płakałem! Po robocie pić mi się zachciało, w drugiej izbie był stróż, poprosiłem go więc o wodę bardzo uprzejmie, a on mi na to: „A czy to nie wiesz psia krew złodzieju, gdzie to studnia.“ Znów mi się łza z oczów puściła i powiedziałem mu: „A cóż to nie wiesz, żeśmy przykuci. Niech ci Bóg odpłaci za to brzydkie słowo.“ I tak głodni i spragnieni spędziliśmy noc całą. Na drugi dzień okropnie mi ręce ściągnęli, tak że aż zsiniały, i poprowadzili mnie do Miechowa. Tam przecież znalazł się litościwy burmistrz, gdy zobaczył sine ręce i głębokie znaki od postronków, wpadł na stróżów i wołał: „A jakże też okrutni jesteście toć to on nie złodziej, nie rozbójnik, człowiek niewinny i litość dla niego mieć powinniście,“ a mnie pocieszał, że mnie do Rosyi nie zapędzą i że z Radomia niezawodnie mnie wrócą.

Gdy mnie wyprowadzili z Miechowa, stanęli dwaj co mnie transportowali stróże i rzekli: „Uciecze... trzeba mu ręce bardziej ściągnąć, daj na wódkę, to cię tak poprowadzimy.“ — „Czyż wy się Boga nie boicie, zawołałem, żądać od niewolnika na wódkę, a zkądże ja mam mieć pieniądze? i wy nazywacie się Polacy i katolicy?“ — „Ucieczе — oj ucieczе,“ odpowiedzieli mi na to i skrępowali mi tak mocno ręce, że uczułem, jak mi krew pędziła do twarzy, a myślałem, że mi się rzuci oczami i nosem. Uszliśmy dwie mile, ja nie widząc bożego świata; stanęli przed karczmą i znów zaczęli: „ucieczе, mało jeszcze skrępowany, trzeba mu mocniej zaciągnąć.“ — „Napijcie się mojej krwi, macie trzy grosze, więcej nie mam, a pamiętajcie, że wy i dzieci wasze będziecie tak chodzić — i zacząłem znowu płakać, bo mi lżej się robiło, gdym płakał. Wówczas jeden z nich ulitował się i rzekł: „Weź swoje trzy grosze człowiecze, nie chcemy nic od ciebie“ — i zwolnił mi ręce.

Przyprowadzili mnie do Radomia, a w drodze ci, co wiedzieli, za co idę, cieszyli, że mnie wrócą do domu, bo na zasadzie manifestu do Polski wróciłem. W Radomiu posadzili mnie w okropnie paskudnem i brudnem więzieniu, a po sześciu dniach zaprowadzili mnie do rządu gubernialnego, do sali, gdzie była miara i gdzie kilku z tych, którzy także z Prus wrócili, mierzyli i doktor ich opatrywał, czy są zdatni do wojska. Widziałem, że jednego i drugiego tęgich chłopów opatrzywszy doktór powiedział, że nie są zdatni, cieszyłem się i ja, bo myślałem, że mnie słabszego od nich i małego nie wezmą. Kazali mi się rozebrać do naga, i postawili pod miarą, doktor obejrzał, obmacał i powiedział, że nie jestem zdatny. Jużem się ubrał, gdy na moje nieszczęście wszedł gubernator, spojrzał na mnie i powiedział: „co on nie zdatny do wojska? zdatny — zapisać, że zdatny i odesłać do Warszawy.“ Bodaj mu Bóg mojego nieszczęścia nie pamiętał, gdyby nie ten gubernator, byłbym w Polsce został. Ubrali mnie w rekrucki płaszcz i pędzili do Warszawy, a ztamtąd okutego, a czasami do żelaznego drąga przykutego wraz z aresztantami do Wschodniej Rosji.

(Dokończenie nastąpi.)

Nad wodą.

Oj, zapatrzyły się moje oczy
W niezmierną świata głąb,
W bory i góry,
I w sine chmury,
I w srebrną rzekę, co szumnie toczy
Swej fali kłąb...

Płynie w świat fala, szemrze a płynie
Coraz to dalej w dół...
Z nieba blask leci
I złotem świeci
Na kryształowej czystej głębinie,
Wśród wodnych kół...

Oj, zapatrzyły się moje oczy
W niezmierną świata dal:
Czy po tej czystej
Drodze srebrzystej
Szczęście nie spłynie do mnie z przezroczy
Z łańcuchem fal?...

Lecz dużo jeszcze upłynie wody,
Nim przyjdą ciche sny,
Nim po rozterce
Odpocznie serce,
Nim grób ukoi rany, zawody
I gorzkie łzy....

Mieczysław Olszowski.

Panna młoda.

Z życia armeńskiego.

Przypominam sobie zawsze tę małą staruszkę szczupłą, o pomarszczonej twarzy, biegającą drobnemi kroczkami i zawsze zajętą; pełno jej było w domu naszym.

Miała mleczno-białe włosy, rozdzielone na dwie części, splecione we warkocze, które zakręcała na szczycie głowy, pod nad fularem, owijającym się wokoło jej fezu.

Nazywano ją „panną młodą,“ a była ona dla nas przedmiotem nieustannych żartów.

Była zawsze w dobrym humorze. W wigilię świąt, gdy wypiła kieliszek wina, zaczynała opowiadać przeróżne historye ze swej młodości.

— Słuchaj, panno młoda, opowiedz nam, jak wychodziłaś za mąż! — wołałyśmy zawsze.

Siadała wówczas na ziemi, na dywanie, z nogami podwiniętemi pod siebie, okrywając się końcami swego futra i kiwając się zlekka, z fezem zsuniętym na ucho, zaczynała swe opowiadanie:

— Byłam córką drobnych mieszczan. Miałam piękne i duże oczy, i włosy aż do pięt, — wzdychała i dodawała: — nie sądźcie mnie z tego, co teraz widzicie, teraz jestem stara i pomarszczona.

Pewnego dnia, bardzo to już damno, zastukano do naszych drzwi; pamiętam to, jakby się wczoraj działo. Przypominam sobie, że deszcz padał drobny, nieustanny, niebo miało kolor złota, a z rynny przeciwległego domu woda ściekała, padając z monotonnym pluskiem do czarnego kubła. Kiedy zastukano, byłam w kuchni z moją matką!

— Idź otworzyć! — mówi mama do mnie.

— Jakto, tak? — mówię do niej, wskazując na moje ubranie.

Miałam na sobie tylko mój intari *); z pod podniesionych rękawów wyglądały obnażone ramiona, a od kilku dni nie miałam czasu utrefić swych włosów.

Stukanie powtórzyło się, tym razem jeszcze głośniejsze.

— Nic nie szkodzi, — zawołała moja matka, — idź zobacz, kto tak stuka.

Dwie kobiety były przed drzwiami. Wysiadły snać z wózka. Jedna była bardzo stara i garbata; przypatrzyła mi się bardzo uważnie i mrugnęła na

*) Initari, szeroka suknia wschodnia.

drugą, jakby mnie pokazując. Zrozumiałam odrazu, że przychodziły dla mnie. Zaczerwieniona schowałam się za drzwi, matka zaś moja, która z kuchni zobaczyła kto wchodzi, wybiegła, prosząc te kobiety do izby, ale ja stałam ciągle za drzwiami, drżąc na całem ciele, jak pies wychłostany.

Kiedy już weszły, pobiegłam boso pode drzwi pokoju, w którym się one znajdowały; byłam ciekawą, jak wszystkie młode dziewczęta.

— To nie do darowania, *moja ciotko,* — mówiła matka moja do garbuski, — mogłyście nas uprzedzić o waszych odwiedzinach!...

Ale ona zaczęła przekładać matce mojej, że przybyły umyślnie nieoczekiwane, gdyż chciały widzieć mnie taką, jaką jestem w domu, bez wszelkich przybrań.

— A dziewczyna piękna, naprawdę piękna, — mówiła garbuska, dodając, że młody, człowiek, który chciał się ze mną żenić, jest bankierem nader bogatym, bardzo bogatym, powtarzała jeszcze, weźmie waszą córkę tak, jak stoi, bez posagu i klejnotów.

— Każ jej raz jeszcze przyjść, żebyśmy dobrze się przypatrzyły.

Ale moja matka nalegała,że muszę mieć dość czasu, aby się odpowiednio przybrać.

— Zresztą może nie przychodzić, — mówiła jeszcze garbuska. — Ta pani, — wskazała na swą towarzyszkę — jest mamką młodego człowieka, widziała dobrze dziewczynę i opowie swemu panu, ojcu młodego, wszystko co zobaczyła. Bo ten młody, to niema już matki i ożeni się z dziewczyną, która spodoba się tej pani, rozumiesz?.... — dodała garbata, ciotka mojej matki.

Słyszałam to wszystko przez dziurkę od klucza, a gdy matka moja wstała, aby mnie zawołać, uciekłam do drugiego pokoju i rozpłakałam się, żeby ukryć moją radość.

W kilka dni po tych odwiedzinach przyniesiono na znak zaręczyn piękny „czelink [2])“, ozdobiony bogato brylantami.

Byłam zaręczona przez dwa lata. Przez cały ten czas narzeczony mój nie dawał znaku życia, naturalnie znajomi nasi mówili, że wszystko to przeciąga się zadługo. Matka moja była bardzo zmartwiona i raz powiedziała do ojca:

— Zawiązuję los dziewczęciu, a jak się to zerwie; zmarnuję jej życie.

Ale pewnego dnia, gdy już zapaliliśmy świece, zastukano bardzo silnie do drzwi. Przerażeni spoglądaliśmy na ojca, który otworzył okno i wychylając głowę w ciemności nocne, zapytał:

— Kto tam?

— Od narzeczonego prędko, otwórzcie!

Ubrałyśmy z pospiechem zastawę stołu, usunęłyśmy stół ze środka pokoju i ucichłyśmy.

Gość tymczasem wszedł. Był to wysoki mężczyzna w „chalrarze [3])“ z zawiniątkiem w ręku.

Ukłoniwszy się, siadł na kanapie i podając zawiniątko matce mojej, rzekł:

— Oto są ubrania — dla panny młodej. Dzisiaj środa, musicie być do soboty gotowe; przyjdę ją zabrać.

Ja, jak zwykle słuchałam, i patrzałam na to wszystko z drugiego pokoju, przez dziurkę od klucza.

Matka moja rozgniewała się.

— Cóż to znowu! Czyż nie jesteśmy jej rodzicami?... Niechże i nam wolno będzie urządzić przyjęcie dla naszych znajomych i nacieszyć się szczęściem córki, zanim ją od nas wezmą.

Mój ojciec także rozgniewał się bardzo.

— Co to jest? — spytał, pokazując na zawiniątko.

— To jest ubranie dla panny młodej, — powtórzył gość.

— Słuchaj-no! Czyż to ja nie mógłbym sprawić córce mojej sukni, czy ona sierota, czy co! —

— Mój pan chce tak, — odpowiedział wysłaniec, wyciągając rękę po filiżankę kawy, — pan powiedział żebyście dziewczynę ubrali w tę suknię, w sobotę; dwie kobiety przyjadą powozem i zawiozą pannę do narzeczonego.

Wielki smutek stał się w domu naszym. Wszyscy żałowali, ale po dwóch latach oczekiwania, co było robić? Przyjęto więc tę propozycyę pomimo woli.

Panna młoda umilkła i zażyła tabaki.

— Opowiedz nam co o weselu, panno młoda! — prosiłyśmy.

— Zaraz, zaraz!... To było tak: w sobotę raniutko uczesano mnie i przybrano w suknię przesłaną przez narzeczonego. Ta suknia była trochę za szeroka, ale zaszyło się po bokach i już. Była to piękna suknia z białego jedwabiu, z niebieskiemi szlakami, cała u dołu zahaftowana złotem i tak ciężka, że ramiona mnie od niej rozbolały. Potem okryto mi głowę niebieską gazą obciążoną złotemi kulkami, znowu tak ciężkiemi, że głową nie mogłam ruszyć. Na nogi wdziano mi również ciężkie trzewiki, — złotem wyszywane, poczem ułożono mi na głowę jako wual, szal kaszmirowy, pod którym już nic nie widziałam. W zupełnej pogrążona ciemności i tak owinięta, czułam, jak szpilki wciskają mi się w głowę i w skórę czoła, ale nie skarżyłam się, bo to wstyd się skarżyć. Nakoniec zawinięto mi głowę w „telpecz [4]),“ co obciążyło jeszcze więcej moją biedną głowę, tak, że o mało się nie rozpłakałam. Nareszcie na to wszystko wdziano mi koronę brylantową, prezent narzeczonego, a na koronę wstążkę, która spływała mi po plecach i ciągnęła się za mną po ziemi.

Pot zalewał mi oczy, podczas gdy dwie kobiety trzymając mnie pod ręce, wiodły do powozu. Słyszałam płacz i łkanie rodziców, gości zaproszonych.

Byłam w rozpaczy. Usadowiono mnie w powozie. Pojechałyśmy. Po zatrzymaniu się powozu, dowiedziałam się, że przybyliśmy na miejsce. Drzwiczki otworzono i moje towarzyszki wyprowadziły mnie; weszłyśmy po schodach przy pomocy innych jeszcze kobiet. Słyszałam hałas, dźwięk muzyki, ale w owinięciu swem byłam jak ślepa.

Posadzono mnie na stosie poduszek na kanapie. Tak przeszła cała noc, którą spędziłam w męczarni, dusząc się prawie, dławiąc się w bezsilnej złości i zmęczeniu.

Obiecywałam sobie zemstę na przyszłym mężu.

— Poczekaj, — myślałam sobie, — zobaczysz!

W czwartek rano, o wschodzie słońca muzyka grać przestała i rozpoczęło się błogosławieństwo ślubne.

Mój narzeczony i ja staliśmy przed sobą; moją dłoń włożono w jego dłoń prawą, a głowy nasze tak zbliżono, że jedna opierała się o drugą.

Księża rozpoczęli modlitwy. Nasz ojciec ślubny trzymał krzyż nad nami, a ksiądz zawiązał nam głowy nitką, na znak przywiązania wspólnego.

Słyszałam zawsze, że jeżeli panna młoda podczas obrzędu ślubnego postawi swą nogę na nodze męża, to panować nad nim będzie przez całe życie.

Wysunęłam więc nogę i powolutku zbliżałam do jego nogi. Ksiądz mówił coś po „kraporsku [5]),“ a dzieci na chórze śpiewały bardzo głośno; zbliżałam nogę coraz więcej, gdy nagle on usunął swą stopę. Wysunęłam jeszcze więcej nogę, ale on jeszcze dalej usunął swoją.

I tak trwało przez cały obrzęd ślubny. Nie dopięłam swego.

Od tej chwili głucha zawiść wybuchła we mnie, znienawidziłam go; rozgniotłabym go pod nogą.

Ceremonia skończyła się. Ze złości, z rozpaczy byłam zupełnie obojętną na

[2]) „Czelink“ kwiat filigranowy, ozdobiony brylantami, zaręczynowy podarunek armeński.

[3]) Chalrar — obcisłe spodnie,

[4]) Telpecz — wual przetykany złotem.

[5]) „Krapor“ — starożytny język armeński.

piękne podarki, które mi ofiarowano, jak i na całe bogactwo mego teścia.

Mój mąż nie był brzydki, ale miał czerwoną twarz i grube, czarne wąsy.

Nienawidziłam go teraz tak strasznie, że w myśli mówiłam sobie:

— Ach, umrzyj, umrzyj jak najprędzej, a ja pójdę śmiać się na twoim grobie!

I naprawdę umarł, w rok po naszym ślubie, a że dzieci nie mieliśmy, więc po śmierci mego męża, teść zabrał z powrotem wszystkie swe podarki, mnie zaś odesłano do domu.

W czterdzieści dni po śmierci mego męża, udałam się z rodziną na jego grób, aby odmówić modlitwy.

Kiedy ksiądz skończył swe modły, upadłam na świeży grób i zaczęłam się śmiać, śmiać tak, jak się nigdy nie śmiałam.

Wszyscy myśleli, że to łkanie, i im więcej litowali się nademną, tem więcej się śmiałam, aż do łez prawie.

Panna młoda zamilkła, a po chwili filozoficznie zakończyła:

— Oj, ta młodość!

— A co potem, co potem? — pytałyśmy.

— A cóż chcecie, żeby było potem? Wyszłam za mąż za subjekta mego męża.

Zaczęłyśmy się śmiać.

— Jakto wyszłaś za subjekta po pierwszym mężu bankierze?...

— A cóż to szkodzi, — odparła stara — taki dobry mąż, jak każdy inny. Ten pozwolił sobie nastąpić na nogę w czasie ślubu, to też byliśmy szczęśliwi przez całe życie.

Marya Sawadjan.

Dla objaśnienia czytelników pospieszamy dodać, że w Armenii panują zwyczaje nader patryarchalne. Dziadek rządzi, a synowie i wnukowie ślepo i z posłuszeństwem bezgranicznem słuchają zawsze. Cała rodzina mieszka w jednym domu.

Młoda kobieta, wychodząc za mąż, niema prawa *mówić,* przynajmniej do urodzenia się pierwszego dziecka.

W domu rządzi matka męża. Synowej nie wolno mówić do niej a porozumiewać się może z nią na migi. Gdy jest już matką, wolno jej mówić z innemi kobietami, ale tylko po cichu; aby mówić głośno, musi czekać starości. Wszystkie kłopoty gospodarskie domowe są na jej barkach aż do zamążpójścia której z sióstr męża.

K. D.—S.

Wycieczka do Aten.

Napisał ***Henryk Sienkiewicz***

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem wjechaliśmy na Archipelag, na owo morze przesławne, o którem starożytni Grecy mówili, że jest obrazem nieba, bo tak samo jest usiane wyspami, jak niebo gwiazdami. Prawdopodobnie dlatego dali mu nazwę Arcymorza. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały Lemnos, pierwszej wyspy, która dostrzega się po wyjściu z przesmyku. Nieco na północ rysowała się również wyraźnie perłowa Imbro, z drugiej strony, bliżej azyatyckiego brzegu, Tenedos. Powiewa tu jeszcze chorągiew proroka, ale nad całym Archipelagiem unosi się duch starogrecki, starogreckie podania i pieśni. Może pod wpływem tych wspomnień brzegi owe wydają się jakieś odmienne od tego, co się poprzednio widziało, i odpowiadające owym konturom, któremi wyobraźnia określa brzegi greckie. Nagie to wszystko, co widać, bezpłodne, równie jak okolice Dardanellów; ni drzew, ni mieszkań ludzkich; ziemia szaro-oliwnego koloru, jakoby spalona i wypłowiała od słońca — ale porozciągana w długie i śmiałe linie proste, niby elementarne pierwowzory porządku doryckiego. Wzgórza piętrzą się jedne nad drugiemi — tu i owdzie wyskakuje w górę ledwie widzialny w błękitnej zasłonie oddalenia szczyt jakiegoś wiszaru; dalej głąb, całkiem przesłonięta. Nad wszystkiem prosta i poważna melancholia. Niegdyś, wedle podania, w Wulkanie Lemnu biły młoty Hefajsta. Może tu właśnie wykuwał sławną tarczą Achillesa? Dziś cicho w kraterze Mosychlosu — bo wulkan wygasł — i tylko podanie przeżyło wulkan i samego bożka.

Na prawo i na lewo ciągle widać wyspy, których wyliczaniem nie będę trudził niczyjej uwagi i pamięci. Wzrok na Archipelagu sięga dalej, niż na innych morzach europejskich. Nawet odleglejsze wyspy widzi się tak czysto i wyraźnie, że można odróżnić niemal każdy załamek skały i zarośla, pokrywające zręby wiszarów. Tyle tu światła leje się z nieba na ziemię, że i Włochy same nie mogą dać o tem pojęcia. Morze i niebo nietylko są lazurowe, ale i świetliste; gdzieindziej słońce świeci i pali, tu zdaje się przenikać cały krajobraz, wsiąkać weń, nasycać go i stapiać się z nim, wyłączając zupełnie wszelki cień. Dlatego nic tu nie rysuje się tak twardo, jak naprzykład nad brzegami morza Śródziemnego. Wszelkie zarysy, na które oko pada, są jednocześnie i niezmiernie wyraźne i mimo tego miękkie, bo objęte jednym tonem, zarazem przejasnym i łagodnym.

Arcymorze nie zawsze bywa spokojne. Te same wichry, które zaniosły aż do cyklopów nawę Odysseusza, pędzą czasem nakształt rozhukanych koni między wyspami; fala grzmi i ciska białą, jak śnieg, pianą aż na szczyty skał pobrzeżnych. Ale w chwili, o której mówię, błękitna roztocz była wygładzona, jak zwierciadło, i tylko za statkiem ciągnął się szeroki pienisty gościniec. Przez cały dzień nie powiał najmniejszy wiatr. Statek szedł, jakby po jeziorze, to też pokład roił się od podróżnych. Nie brakło nawet wykwintnych sukni kobiecych, bo atenki, więcej jeszcze od innych cór Ewy, lubią przy każdej sposobności nakładać na siebie co mają najlepszego.

Ów raut na pokładzie trwa do późnego wieczora. Grecy łatwo zawierają stosunki, może dlatego, by swej gadatliwości dogodzić. Grzeczność ich jest nawet zbyt natarczywą, aby mogła być szczerą. Wogóle chełpią się przytem bez miary, nietylko swą dawną, ale i dzisiejszą cywilizacyą. Co chwila wyliczają cudzoziemcowi greckie znakomitości dzisiejsze, naukowe i artystyczne, znane niby i głośne w całej Europie — i dziwią się, jeżeli ktoś o nich nie słyszał. Ten a ten malarz pogrążył zupełnie Gerome'a swoim ostatnim obrazem; ten a ten uczony na kilka lat przed Pasteur'em począł szczepić wściekliznę, co, mówiąc nawiasem, było tem dziwniejsze, że choroby tej nie masz na południu. Słuchając ich, sądziłbyś, że jak niegdyś Bóg spełniał swoje czyny przez Franków, tak dzisiaj z daleko większym skutkiem posługuje się Grekami. Jeżeli coś kapitalnego staje się na świecie, szukaj dobrze, a znajdziesz Greka.

Noc na Archipelagu równie jest piękna, jak dzień. Takie noce zwał Homer „ambrozyjskiemi''. Stopy wysp obwijają się w mgłę leciuchną, ale księżyc bieli szczyty gór; zresztą żadnej chmurki na niebie — a morze całe w szlakach srebrnych. Jeden, najszerszy, utworzon przez księżyc — inne od gwiazd. Zjawisko to, na północy nieznane; ale na południowych morzach widziałem niejednokrotnie te srebrne gościńce a raczej pasma, igrające od gwiazd na wodzie. Płyniemy wśród ciszy takiej, że słychać każdy obrót śruby. Na widnokręgu dostrzedz można kilka statków, a raczej latarnie ich, podobne zdala do różnokolorowych chwiejnych punktów, pozawieszanych w powietrzu.

Statki owe płyną po większej czę-

ści tak, jak i my — do Pireus, w którym staniemy na świtaniu. Jakoż o pierwszym brzasku śruba przestaje huczeć i nagła ta cisza budzi wszystkich. Ubrawszy się, wypadamy pośpiesznie na pokład — Pireus — Attyka.

Przypuszczam, że nawet najobojętniejszy człowiek z pewnem wzruszeniem staje na tej ziemi, w obliczu Aten. Kiedy w swoim czasie odniesiono Papieżowi wielką chorągiew całego Islamu, zdobytą pod Wiedniem i żądano w zamian relikwij, Papież odrzekł posłom: „Nie wam relikwij prosić potrzeba; weźcie garść ziemi waszej, bo ona tam cała krwią męczeńską przesiąknięta". Tak o tej ziemi attyckiej powiedziećby można również, że każda jej garść przesiąknięta myślą i sztuką grecką. Przypominacie sobie zapewne z drugiej części *Fausta* „macierze" — owe pierwokształty i pierwowzory wszystkiego, istniejące poza światami, przestrzenią, tak uroczyste w swoich nieokreślonych samotniach, że aż straszne. Attyka, nie będąc nieokreśloną, ani straszną, jest przecie intelektualną macierzą całej cywilizacyi. Bez niej nie wiadomo, gdziebyśmy byli i czembyśmy byli. Jest ona słońcem świata starożytnego, a po swym zachodzie dziejowym pozostawia jeszcze blask tak mocny, że z tych promieni narodzi się renesans po średniowiecznej pomroce. Mówię: Attyka, zamiast Grecya, bo czem Hellada była dla świata, tem Attyka dla Hellady. Jednem słowem, wstępując na tę ziemię, jesteśmy u źródła. Inne cywilizacye na sąsiednim, azyatyckim i afrykańskim lądzie, wśród innych szczepów, wyhodowały się na potwory — grecka jedynie pozostała człowiekiem; inne gubiły się w fantasmagoryach — ona jedna przyjęła za podstawę wiedzy i sztuki świat realny, a jednocześnie umiała z tych pierwiastków czysto realnych wytworzyć najwyższy ład, prawdziwie boską harmonię. Umiała być boską, nie przestając być ludzką — i to objaśnia jej znaczenie.

W chwili, gdy wstępował na tę ziemię, na niebo wstępowała właśnie „różanopalca" jutrzenka. Z Pireus do Aten można jechać koleją, ale nierównie lepiej jest wziąść powóz i widzieć dokładniej wszystko, co się da zobaczyć w ciągu pół godziny po drodze. Droga z Pireus, wysadzana po obu stronach platanami, idzie wśród tak zwanej równiny attyckiej, którą skrapia, a raczej mógłby skrapiać — Cefizus. Każda nazwa budzi tu w pamięci echa i wspomnienia historyczne. Gdyby nie to, Cefizus zresztą nie budziłby zbyt wielkiego uszanowania, bo jak w Polsce są takie mosty, których nie ma, tak i Cefizus jest taką rzeką, której nie ma — to znaczy, że w jego wyschłem i spieczonem korycie nie sączy się ani jedna kropla wody. Równina jest wązka. Po lewej ręce, w kierunku zatoki Eleuzyjskiej, widzisz góry Dafni i Poikilon, po prawej miodonośny Himetes i Pentelikon, który dziś jeszcze, jak i dawniej, dostarcza Atenom marmurów. Kraj wydaje się spalony słońcem, pusty,(bezpłodny. Pola, wzgórza i skały mają ton popielaty, niezmiernie delikatny — z odcieniem nieco błękitnawym. Jest to barwa, w którą w Grecyi stapiają się wszystkie inne i przeważa ona wszędy — na wyspach, równie jak na lądzie.

W pół drogi, lasek oliwny, zdaje się być także przytrząśnięty mdławym popiołem. Nad tem wszystkiem zwiesza się błękit bez chmurki, nie tak modry, jak we Włoszech, natomiast, jak już wspomniałem, stokroć świetlistszy. Ziemia — niby podarta. Opoka wietrzeje, kruszy się i rozsypuje. Nadaje to całej okolicy pozór ruiny i pustki. Ale dobrze jej z tem. Do twarzy jej ta cisza i zgrzybiałość, te senne laski oliwne i bezpłodne skały.

Główna droga idzie do dworca kolei, leżącego na końcu ulicy Hermesa, ale w pobliżu miasta powóz skręca na prawo i wjeżdżamy na bulwar, wysadzany pieprzowemi drzewami. Wówczas na stromej skale dostrzegasz szereg złotawych kolumn, połączonych wyszczerbionemi architrawami. Wszystko to rumiane od jutrzenki, rysujące się z nieopisaną słodyczą i czystością na niebie, niezbyt wielkie w rozmiarze, wielkie nad wszelką miarę w harmonii, spokojne, po prostu: bozkie.

Drogman, siedzący na koźle, odwraca się i mówi:

Akropolis!

Bliżej góry, na Ceramiku, wznosi się świątynia Tezeusza, stosunkowo najlepiej zachowana ze wszystkich pamiątek starożytnego świata. Potem, co krok, jakieś szczątki: mury pelazgickie, skały Pnyxu, grota Sokratesa i inne, wyglądające z pośród skał czarnemi otworami na światło dzienne. Pod samą górą krawędź wiszaru zasłania linie Parthenonu; widzisz natomiast cały bezład ruin Odeonu Heroda i teatru Bachusa. Oko biega z jednego złamu na drugi; wyobraźnia pracuje, pragnąc odtworzyc ubiegłe życie; myśl nie może ogarnąć wszystkiego i mimowoli ograniczasz się do prostego przyjmowania wrażeń. Czujesz tylko, że tu naprawdę warto przyjechać, że tu nie będzie pobieżnego oglądania ruin z „Baedekierem" w ręku i pragnieniem w duszy, by coprędzej wrócić do hotelu. Ale powóz mija aż nadto szybko te półbozkie głazy — i nagle jesteśmy w nowem mieście, w nowych Atenach.

Pomówmy więc o niem, zanim wrócimy do Akropolis.

Przyjechałem tak przygotowany na wschodnie brudy, na owe stambulskie brudy, przechodzące siłę nerwów przeciętnego człowieka, że doznałem najprzyjemniejszego zawodu. Naprzód, to nieprawda, że w Atenach widzi się o tyle zieloność, o ile podadzą sałatę na obiad. Może właśnie dlatego, że w kraju jej mało, miasto wysiliło się, aby swoje ulice i place ocienić drzewami. Wjeżdżałem do miasta koło Akropolu i Olimpijonu, przez bulwar panhelleński, który jest jedną zieloną wstęgą. Pieprzowe drzewa, o jasno-zielonych delikatnych listkach, przypominają wierzby płaczące i nadają tej drodze wiosenny, majowy pozór. Wszędy widzisz ogrody, w nich palmy, czarne dęby, kaktusy i aloesy. Prawda, że wszystko to okryte jest szarym pyłem, idącym od skał i ruin, jakby te umarłe zabytki chciały mówić każdej żyjącej istocie: „prochem jesteś i w proch się obrócisz" — można tu jednak już dziś znaleść wszędzie cień i chłód. Główne ulice miasta są szerokie, domy duże, oślepiającej białości, bogatsze wykładane marmurem, który dotąd wydobywają z nagich boków Pentelikonu. Budowle te nie są pozbawione ni wdzięku, ni lekkości. Wyjątek stanowi pałac królewski. Ściany jego także są z pentelickiego marmuru, ale styl ciężki, koszarowy, sprawia, że rezydencya ta nietylko nie jest ozdobą głównego placu Konstytucyi ale go szpeci. Na domiar — za pałacem i z jednego boku leżą wprawdzie okazałe królewskie ogrody, natomiast przed pałacem szarzeje prawdziwa pustynia, ciągnąca się aż do głównego miejskiego wirydarza. By nic nie psuło wrażenia pustyni, stoją na niej duże palmy, wyniosłe, odrzynające się twardo wśród pustoszy. Dodawszy araba z wielbłądem, możnaby sobie wyobrazić, że się jest w Egipcie. Zresztą miasto jest jasne, schludne i zupełnie europejskie, ale budujące się pod łatwo zrozumiałym wpływem i na wzór dawnych porządków architekturalnych greckich, co mu nadaje pyszny pozór. Wszędzie spostrzegasz kolumny doryckie, jońskie i koryndzkie; fryzy, które począł rzeźbić człowiek, a dorzeźbia słońce. Uniwersytet, a zwłaszcza Akademia sztuk pięknych, ma wspaniałe i harmonijne kształty greckiej świątyni. (C. d. n.)

Wiadomości.

— **Folwark Brodzewko** pod Kiszkowem około 500 mórg obszaru, który to majątek przed paru tygodniami z rąk niemieckich przeszedł na własność domu bankowo-komisowego *Drwęski i Langner* w Poznaniu, — rzeczona firma sprzedała już dalej i to w całości. Nabywcą jest rodak nasz, znany obywatel p. Jan Zywert z Gniezna. Nowemu nabywcy „Szczęść Boże!"

— **Naczelny redaktor** naszego pisma p. *M. R. Wierzbiński* wyjechał na cztery tygodnie.

— **Nowe hakatystyczne pismo w Poznaniu.** Chodzi po mieście pogłoska, że od 1 października wychodzić zacznie tu nowe pismo niemieckie. Ma to być „ableger" poznańskiego „Tageblattu", bardzo tani, celem zaś jego będzie szerzenie niemieckiego „patryotyzmu" a raczej hakatyzmu. Zarazem ma ono przeciwdziałać tutejszym niemieckim liberalnym, no i polskim pismom. Czy pogłoska się sprawdzi a mianowicie czy oczekiwania się ziszczą, najbliższy czas wykaże.

— **Na rzecz ofiar zaburzeń w hucie Laury** otrzymaliśmy od p. Michała Szudzińskiego z Wągrówca 5 mrk.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Dla biednych Wielkopolan**, dotkniętych klęską powodzi, nadesłała pani A. Łucka z Jaremcza w Galicyi 2 korony czyli po zamianie 1 mrk 70 fen. Razem dotąd złożono na ten cel 6 m. 70 fen.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Wyprzedaż mebli** z powodu przeniesienia składów rozpoczęła się w magazynie mebli p. Gabryelewicza przy ulicy Wiktoryi nr. 14. Wybór mebli tylko najmodniejszych i najgustowniejszych jest wielki, a każdy garnitur, każda sztuka wyprzedaje się po cenie zniżonej. Zwracamy szczególnie uwagę Szanownej Publiczności na eleganckie i bardzo piękne stylowe urządzenia pokoi. Od 1-go października magazyn mebli p. W. Gabryelewicza znacznie powiększonym i przeniesionym będzie na ulicę Wiktoryi nr. 12. Pan G. jako zawodowiec wszechstronnie wykształcony, mianowicie jako architekt wewnętrznej dekoracyi, wszelkim wymaganiom, nawet najwybredniejszym gustom zadosyć uczynić i wszelką konkurencyę śmiało pokonać może.

— **Pan M. Malinowski** objął skład konfekcyi damskiej i bławatów pod firmą „C. Hirschbruch" przy starym Rynku nr. 85. Pan Malinowski otwiera od 1-go października r. b. specyalny skład konfekcyi damskiej i dlatego wyprzedaje dotychczasowy zapas towarów po zdumiewająco tanich cenach, jak się Szanowne Czytelniczki z ogłoszenia przekonać mogą. Skład naszego przedsiębiorczego rodaka polecamy względom Publiczności i życzymy mu jak najlepszego powodzenia.

— **Ważny wyrok dla Towarzystw polskich** wydał kamergerycht berliński. Towarzystwo przemysłowe w Gnieźnie wręczyło władzy policyjnej ustawy w języku polskim. Policya domagała się tłomaczenia niemieckiego, którego Towarzystwo jej odmówiło. Sąd ławniczy skazał przewodniczącego p. Hoffmanna na karę pieniężną. Sąd ziemiański natomiast zniósł wyrok i uwolnił p. Hoffmanna, uzasadniając wyrok tą okolicznością, że ustawy Towarzystwa są dokumentem, którego wręczenia domagać się można tylko w oryginale. Prokuratorya wniosła o rewizyę wyroku, a wniosek ten poparł także nadprokurator. Senat karny kamergerychtu zniósł wyrok sądu ziemiańskiego i przekazał jemu sprawę do ponownego rozsądzenia. W uzasadnieniu wyroku powiedziano, że ustawy wręczone muszą być policyi w języku niemieckim.

— **O imię polskie.** W urzędzie stanu cywilnego nie chciano wpisać w księgi rodowodowe polskiego imienia „Kazimierz", które nadał swemu synowi pan Andrzej Guzik z Liszkowa. Zapisano tylko tłomaczenie niemieckie „Kasimir." Jak wiadomo, pisownia wyłączna imion w polskiem brzmieniu jest wzbroniona. Wolno jednakowoż żądać, ażeby urzędnik stanu cywilnego zapisał obok niemieckiego także polskie imię. W sprawie tej wyszło już dawniej rozporządzenie ministeryalne, na mocy którego sąd okręgowy inowrocławski zmu

sił teraz owego urzędnika do wpisania w księgi odnośne także imienia podanego w brzmieniu polskiem. Sprawę tę prowadził pan adwokat Galon z Inowrocławia.

— **Komisya kolonizacyjna** kupiła od pana Hugona Ratha Jacewo i Dalkowo w powiecie inowrocławskim za 975,000 marek, płacąc za morgę 542 m. Jacewo ma być zamienione na domenę, a w Dalkowie osadzi komisya kolonistów. Z polskiej strony podobno ofiarowano panu Rathowi 25,000 mr. więcej. — W powiecie chodzieskim kupiła komisya kolonizacyjna Łucyanowo, obejmujące 950 mórg, od pana Hauffego za 180,000 marek i Kąkolewo, obejmujące 1250 mórg, od pana Lindenburga za 200000 mr. Łucyanowo należy całe, a Kąkolewo w części pod względem komunalnym do miasta Budzynia.

— **Urząd zabezpieczenia** dla rzeszy niemieckiej wydał ważny wyrok w sprawie udzielania renty inwalidowej. Pewien robotnik uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w r. 1898, wskutek czego stale miał pewne dolegliwości, lecz mógł przytem pracować i wniosku o udzielenie mu renty nie stawił. W roku 1901 zachorował obłożnie a lekarz przypuszczał, iż obecna ta jego choroba jest wynikiem owego nieszczęśliwego wypadku. Robotnik ów i teraz wniosku o udzielenie renty nie stawił, lecz uczynił to dopiero w r. 1902. Wniosek jego został odrzuconym jako przedawniony, gdyż istnieje przepis, że trzeba się zgłosić po rentę w przeciągu 8 miesięcy po wypadku. Najwyższy urząd zabezpieczenia dla rzeszy zaś zawyrokował, że robotnik ma otrzymywać rentę, gdyż owe 3 miesiące czasu, liczy się nie od dnia wypadku, lecz od czasu, w którym robotnik ów wiedział z pewnością, iż niezdolność jego do pracy spowodował ów nieszczęśliwy wypadek.

— **W celu ułatwienia wypłaty zgłaszającym się o rentę** wydał minister finansów rozporządzenie, odnoszące się do formalności wypisanych kwitów rentowych i tak: kwity rentowe są ważne nawet wtedy, kiedy umieszczono na nich pewne dodatki prócz sumy mającej się wypłacić, jeżeli nie zachodzą żadne wątpliwości co do wysokości sumy, mającej się wypłacić, oraz czasu, za który renta ma być wypłaconą.

Dalej kwity rentowe są ważne, chociaż stan osoby odbierającej niestósownie jest określony, byle tylko była pewność, że suma dostaje się w ręce osoby uprawnionej do renty.

Po trzecie kwity są ważne, chociażby data przedwczesna była, byle podpis poświadczony był w miesiącu płatności.

Po czwarte kwity są ważne, chociażby pewna różnica w wypisaniu nazwiska w wykazach kasowych, a kwitem do wypłat przedłożonym zachodziła, skoro nie ma żadnej wątpliwości co do osoby.

Przeciwnie kwit należy uważać za nieważny, skoro przez błędne wypisanie nazwiska nasuwa się wątpliwość o tożsamości osoby. Wszelkie zmiany cyfr sumy wypłacalnej przed wypłatą zrobione, należy przepisanem poświadczeniem zaopatrzyć.

— **Toruń.** Pan Jan Brejski, poseł i wydawca „Gaz. Toruńskiej“, który w ostatnim czasie opuścił więzienie golubskie, dziękuje w tejże gazecie wszystkim, którzy mu dali liczne dowody życzliwości z powodu jego przymusowego pobytu za kratami więziennemi. Równocześnie dziękuje komitetom, mężom zaufania i wszystkim wyborcom okręgu, w którym został wybrany posłem i tak kończy: „Pragnę być— wedle sił — pożytecznym całemu społeczeństwu, a przedewszystkiem tym jego odłamom, którym szczególnie potrzebna jest opieka, pomoc i obrona. To przyrzekam, składając dzięki za okazane mi przez wybór mój na posła do parlamentu zaufanie.“

Zmarli.

† Ś. p. *Walentyna z Rudońskich Sypniewska* dnia 30-go z. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się dnia 3-go b. m. w Głuszynie pod Poznaniem.

† Ś. p. *Zbigniew Kluge*, słuchacz św. teologii, dnia 29-go z. m. w Ostrowie w 25 roku życia.

† S. p. *Marya z Laskiewiczów Księżopolska* dnia 2-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Helena z Jasińskich Konopińska*, przeżywszy lat 57 w Książu.

Wiadomości literackie.

— **„Ginekologia“**, miesięcznik poświęcony chorobom kobiecym i położnictwu, zaczął wychodzić od 1-go lipca r. b. w Warszawie. Redaktorem i wydawcą jest p. dr. Czesław Stankiewicz. Cel pisma wyjaśnia nam redakcya w następującem słowie wstępnem: „Jako wyraz głębokiej czci dla piśmiennictwa ojczystego podjęliśmy próbę zestawienia w jednę całość wszystkich prac polskich z zakresu chorób kobiecych i położnictwa. Plonem naszych usiłowań dzielimy się w pierwszych zeszytach „Ginekologii.““

Od Redakcyi.

Panu S. W. 1000. — „Teka“ wychodzi co miesiąc w Krakowie. Zapisać Pan możesz w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu. Co do dalszego zapytania, to był projekt wydawania takiego pisma, ale dotychczas został tylko projektem, wreszcie co do trzeciego punktu, to poinformuje Szanownego Pana najlepiej powyżej wzmiankowana księgarnia.

Panu R. w W. — Owszem, pomyślimy o tem. Na razie rozpoczęliśmy w „Czytelni“ druk wybornej powieści M. Bałuckiego p. t. „Biały Murzyn.“

Panu Ludwikowi Sz. w Poznaniu (Jeżycach.) — Myśl dobra, ale wiersz bardzo nieudolny, więc go zamieścić nie możemy. Napisz Pan w tej sprawie krótką korespondencyą prozą, a chętnie zamieścimy.

Panu M. Ł. w Kw. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale zużytkować nie możemy dlatego, bośmy te wiersze już zamieścili w poprzednich rocznikach „Pracy.“

Panu A. R. w Jarocinie. — Napisz Pan krótką i treściwą odezwę prozą, a zamieścimy jak najchętniej.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Dział kobiecy.




Ubranie zreformowane.

Próbawano niejednokrotnie i na różne sposoby zastosować do mody ubranie, o którem obecnie tak wiele się rozprawia, tak zwane ubranie zreformowane. Lecz próby te dotychczas nie zdołały „przemówić“ do ogółu, we Francyi zaś działo się im jeszcze oporniej, aniżeli u nas. Paryżanka, że tak powiem, nie jest wcale objektem dla zreformowanego ubrania, i stroje te, ile śmiem sądzić, w modach paryskich grać będą bardzo przejściową, epizodyczną rolę. Paryżanka umie obejść się bez gorsetu, tak przynajmniej głośno dowodzą niektóre, lecz lepiej niźli zreformowane, umie nosić suknie stylowe Empire albo Watteau.

Panienki, młode osóbki, zwane podlotkami, nadzwyczaj zręcznie poruszają się w tem swobodnem, pozbawionem „wcięcia“, ubraniu. Przeważnie bywa ono na kokardy związane na ramionach i dopełnione lekką batystową, albo jedwabną bluzką.

Za to panie o kształtach obfitych, które często miewają o sobie wręcz przeciwne wyobrażenie i sądzą, że zreformowane suknie zostały specyalnie dla nich wynalezione, wyglądają w nich po prostu — przerażająco.

O zreformowanych ubraniach wiele się pisze i czyta i, w stosunku do tego, nader mało są noszone. Dzieje się z niemi, jak z poezjami wielu klasycznych mistrzów, które ogół zna i podziwia — z okładki.

Co jest przyczyną takiego ociągania się w przyjęciu, czegoś za czem nietylko hygiena, lecz i moda przemawiać poczyna? Zdaje mi się, że przyczyna leży w źle zrozumianym zapale propagandy. Nie zadowalano się tem, żeby stworzyć strój praktyczny, zastosowany do wymagań hygieny i jednocześnie do bieżącej mody, lecz żądano, aby każda zreformowana suknia była „indywidualną“, artystyczną. Czy to na rycinach, czy na wystawach specyalnych, nie widywaliśmy i dziś jeszcze mało widujemy praktycznych, łatwych do zastosowania wzorów, jeno jakieś oryginalne, artystyczne pomysły. Łączności między podobnemi wzorami a praktycznem zastosowaniem ich — brak zupełnie. Kobiet, ubierających się z oryginalnym, indywidualnym smakiem jest tak niewiele, iż o zastosowaniu tej reguły do masy marzyć nawet niepodobna. Zresztą, do tego potrzeba nietylko smaku doskonale rozwiniętego, odwagi, żeby się od innych odróżniać, ale i środków odpowiednich i nawet stanowiska, któreby na odróżnianie się pozwalało. Pewne więc, modą ustanowione reguły, są rzeczywiście wygodne i potrzebne.

Jak w historyi świata, tak samo i w historyi mody, zdarzają się epoki o wybitnie rewolucyjnym charakterze i do takich śmiało zaliczyć możemy obecną, albowiem, nowe, podług zasad hygieny obmyślone ubranie zaprowadza zmiany, zupełnie radykalne, sięgające posad.

Dzisiejsza walka pojęć w państwie mody przypomina radykalną także zmianę ubrań, jaka się dokonała przed wiekiem, w czasie wielkiej rewolucyi. Kobiety ginęły wówczas w najdziwaczniejszych *arrangements* (sukniami czy toaletami nie można chyba strojów ówczesnych nazwać) i z takich dziwactw przerzuciły się od razu do ślicznych linii *Empire*; u mężczyzn zaś zjawiła się epokowa inowacya, długie pantalony, które przeszły przez szereg dziwacznych fasonów i pasiastych jaskrawości, zanim stały się upodobnione do obecnych. Przyznajmy, że ubranie panów wymagałoby też pewnej reformy, nie tyle może z hygienicznych, ile z estetycznych względów. Frak *robe de grande parure*, do którego oczy nasze nawykły i którego szpetności dlatego nie widzimy, jest przecież istotnie dziwnym pomysłem i wielce szpetną szatą w porównaniu z dawniejszemi strojami mężczyzn. Zapowiadano, jako *clou* wystawy paryskiej 1900 r., nowy strój dla panów; snadź jednak nie łatwo coś nowego w tym kierunku zbudować, skoro nie wymyślono niczego ani nad Sekwaną, ani nad Tamizą, aczkolwiek mistrzowie sztuki krawieckiej dobrze tam sobie nałamali głowy.

Ciekawą jest obrona reformy stroju, z jaką Marcel Prévost występuje w „Figarze“, bo aczkolwiek autor *Les demivierges* nie wypowiada się z taką głębokością przekonania, jak Van de Velde, albo jaki monachijski propagator *Reformkleidungu*, zawsze jednak dla Francuzów powinien być pewną powagą.

Artykuł pani de Broutelles, znanej specjalistki w pisaniu o modach, poświęcony kilku modelom zreformowanego stroju, wyszłym z pierwszorzędnego magazynu paryskiego, znaglił utalentowanego romansopisarza do wygłoszenia swoich spostrzeżeń w tej sprawie.

Dopóki usiłowania w kierunku reformy ograniczały się do Niemiec i Anglii, we Francyi nie zwracano prawie na nie uwagi, co najwyżej, wyśmiewano się z nich po trosze. Lecz, gdy w świątyni mody, w metropolii smaku i wykwintu, ukazały się kostiumy zreformowane, paryskiego pochodzenia, wypowiedziano i tam krucjatę przeciw gorsetowi i nienaturalnej linii niewieściego torsu, jaką gorset wyrobić musi. Prévost łączy swój głos z głosem protestu.

Jako powołany znawca niewieścich wdzięków, zagłębia się w szczegóły damskiej toalety bardzo *intimes* i, nie broniąc już zreformowanych ubrań ze stanowiska hygieny, albowiem ta jest tu bezwzględna, debatuje nad stroną estetyczną. Przedewszystkiem rzuca śmiałe pytanie: „Dla kogo kobiety pragną być piękne?“ — i sam na to pytanie odpowiada: „Rozumie się dla mężczyzn, która zaś z kobiet mówi inaczej, mówi nieprawdę.“

Za wszelkiemi zarzutami, które ze strony kobiet stawiane są zreformowanym strojom, (tak dowodzi Prévost), kryje się zawsze obawa, czy aby te, które się według dawnego kroju ubierać będą, nie spodobają się bardziej mężczyznom.

Prévost stara się obawy te odeprzeć i tak kończy swe uwagi: „W zasadzie jestem szczerze za reformą.“

K. W.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Elektrokultura.

Elektrokultura, po długim czasie doświadczeń, weszła obecnie w fazę zastosowania, a w Stanach Zjednoczonych, głównie w Chicago kultura roślin w specyalnych altanach, zaopatrzonych w lampy łukowe, stanowi już przemysł dosyć korzystny.

Stosowanie prądów elektrycznych w celu przyspieszania wzrostu roślinności, aczkolwiek zbadane już od lat pięćdziesięciu przeszło (przez Rossa w 1844—46) pozbawione jest jeszcze w Europie sankcyi praktycznej. Sprawozdanie p. Tyrwina, złożone Towarzystwu elektrotechnicznemu w Petersburgu, daje wszakże kilka bardzo ciekawych wskazówek o pracach, podjętych w tym kierunku w Rosyi przez pp. Spieszniewa i Krawkowa.

P. Spieszniew wykonał trzy szeregi doświadczeń: powtarzając znane doświadczenia nad ziarnkami elektryzowanemi, stwierdził raz jeszcze, że te ziarnka kiełkowały daleko prędzej i dawały lepsze owoce i obfitsze zbiory (2$^{1}/_{0}$ do 6 razy), niż ziarnka niepoddawane poprzedniej elektryzacyi.

Wznawiając doświadczenia Rossa, to jest zakopując w ziemi płytkę cynku i płytkę miedzi, połączone drutem, p. Spieszniew stwierdził, że kartofle i buraki, rosnące w ziemi, w ten sposób naelektryzowanej dawały o trzy razy obfitszy plon, niż posadzone obok w takiej samej ziemi, pozbawionej działania elektryczności.

Wreszcie autor powtykał na gruncie, przeznaczonym do doświadczeń, na odległości dziesięciu metrów jeden od drugiego słupy drewniane, zaopatrzone u góry w kółka metalowe, połączone ze sobą drutami tak, żeby cały kawałek gruntu znajdował się pod pewnego rodzaju siatką, przez którą puszczał prąd elektryczny. Otrzymał zdumiewające rezultaty: wzrost jęczmienia, między innemi, został o dwanaście dni przyśpieszony.

Niedawno znów p. Krawkow ze swej strony przedsięwziął szereg doświadczeń laboratoryjnych, z których dał się wyprowadzić ten pewnik, że temperatura gruntu, będąc podniesioną przez prąd elektryczny, zmniejsza naprzód wilgoć, aby ją następnie po jakich trzech tygodniach powiększyć, i że ostatecznie zwiększa się również ilość materyi roślinnej..

Dodać do tego należy ciekawe zjawisko, spostrzeżone w grudniu roku zeszłego przez p. Conchet w Genewie. Oto wszedzie w mieście, gdzie platany były skąpane światłem elektrycznem, liście zachowywało zieloność. Cała część drzewa otaczająca lampę elektryczną była gęsto pokryta liściem zielonym, podczas gdy korona, nie wystawiona na światło elektryczne, oddawna była pozbawiona liści. Fakt ten spostrzeżono już w roku 1900 na wielu promenadach, placach, wzdłuż wybrzeża, przed mostem des Bergues, przy ogrodzie nad jeziorem i t. d.

J. N.

Rozwój kas oszczędności w Niemczech.

Niedawno opublikowany 24 tom statystycznych roczników państwa niemieckiego zawiera po raz pierwszy jednolite dane o kasach oszczędności poszczególnych państw związkowych. Pod kasami oszczędności rozumiano tam kasy oszczędności publiczne i prywatne z wyłączeniem kas oszczędnościowo-kredytowych, opierających się na instytucyach związkowych.

Z końcem roku 1900 posiadało 2.685 kas publicznych w państwie niemieckiem na 14 milionach 900 tysiącach książeczek wkładkowych około 8.839 milionów marek oszczędności, tak, że na jedną książeczkę wypadało 595 marek a na głowę ludności 157 m.

W ciągu roku 1900 przybyło 2.294 milionów, ubyło 1950 milionów marek, tak, że na jedną książeczkę wypada zwiększenie się wkładki o 23.44 marek, na głowę ludności o 6.18 mk.

Według państw wyniki są następujące:

	Na książeczkę.	Na głowę ludu.
W Niemczech	595 mr.	157 mr.
W Prusiech	663 „	167 „
Hessen-Nassau	570 „	146 „
Bawarya	395 „	52 „
W. ks. Heskie	840 „	180 „

Bawarya zostaje również w tyle pod względem ilości książeczek. Kiedy bowiem w wymienionych częściach Niemiec na 100 mieszkańców przypadało od 22 do 26 książeczek, w Bawaryi było ich 13.

Cała jednak potęga niemieckich instytucyj oszczędnościowych i ich znaczenie społeczne występuje dopiero w przedstawieniu rozwoju w ostatnich lat dziesiątkach.

Tak było w królestwie pruskiem:

W roku	książeczek	na sumę
1870	1,391,970	496 mil. mk.
1880	2,942,155	1,595 „ „
1890	5,592,662	3,282 „ „
1900	8,670,709	5,746 „ „

Przeciętna wkładki wzrosła przeto z 355 mk. na książeczkę a 20 mk. na głowę w roku 1870, do 663 mk. na książeczkę a 166 na głowę w roku 1900.

Te znaczne sumy oszczędności, jakkolwiek świadczą o znacznej zamożności ogółu, stanowią tylko część niewielką ogólnego majątku Niemców wogóle a obywateli państwa pruskiego w szczególności. Kiedy w Prusiech oszczędności jak wyżej przytoczono wynoszą 5.7 miliarda, cały majątek podpadający pod podatek uzupełniający, wynosił około 70 miliardów mk.

Suszenie owoców bez pomocy ognia.

Rosyjskie ministerstwo rolnictwa ogłasza w piśmie *„Izwiestja“* nowy sposób suszenia owoców bez użycia ognia. Suszenie to owoców, a zwłaszcza owoców poobijanych, które wskutek trzęsienia drzew albo podczas zbioru na ziemię padały, odbywa się tylko przy pomocy ciepła słonecznego, pod dachami krytymi blachą. Manipulacya bardzo łatwa: po obraniu i pokrajaniu, rozpościera się owoce na sitach lub przetakach, albo blejtramach siatkowych i na tych pozostają one pod blaszanymi dachami 2 do 2$^{1}/_{2}$ doby aż do zupełnego wyschnięcia. W ten sposób suszone owoce nie tracą nic na wartości i pozorze zewnętrznym, podczas gdy suszone wprost na słońcu żółkną i tracą tak pożądaną jasną barwę. Przy tym systemie więc nie ma kłopotu z regulowaniem ciepła, nie ma też obawy przepalenia i przydymienia owoców, jak się to działo przy suszeniu owoców na lasach lub w piecach. Obok wielu zalet ma ten sposób suszenia jeszcze i tę, że można doraźnie suszyć odpadki, przez co zapobiega się mnożeniu owadów owocożernych, które przy długiem trzymaniu owocu opadłego znajdowały dobre warunki rozwoju dla siebie.

Dodatek Humorystyczny.

Strofy upalne.

Wstaje rano pan Jacenty
I stroskane drapie czoło:
— Ach, znów upał mamy dzisiaj,
Nie wytrzymam, daję słowo!
Zwolna na się kładzie odzież,
Wciąga krawat i tam dalej:
— Ach, znów upał mamy dzisiaj,
Z tego żaru twarz mnie pali!...

Potem siada do swej kawki
I łykając rogaliki,
Tak pod nosem mruczy ciągle:
— A to upał sprawia wnyki!
Gdy podjadłszy, mknie do biura,
Ledwie oddech złapać może:
— To ci upał, to gorąco!
Chyba zginąć, mocny Boże!...

W biurze siedzi jak na szpilkach,
Błędnym wzrokiem wszystkich darzy,
— Niech go nie znam, co za piekło!
To mi upał skórę praży!
A potem mknie na obiadek,
Ale tknąć go się nie waży,
Bo się cały, niby w ogniu,
Tak w upale onym smaży!

Wreszcie mrok zapada szary,
Pan Jacenty nieco chłonie:
— Co z wieczorem zrobić? — myśli,
W kieszeń swą wsunąwszy dłonie.
— Aha, wiem! W ogródku koncert
Usłyszę tam piękną sztukę,
I w ten sposób najkorzystniej,
Wypełnię znów czasu lukę! —

No, i poszedł! Lecz słuchając
Koncertowych głupstw tysiące,
Wciąż na ciele umęczonem
Krople potu czuł gorące!
A gdy wracał pan Jacenty,
Jeno ciężko kręcił głową,
I tak mruczał: — No, już dalej
Nie wytrzymam, daję słowo!....

* * *

W upale się człek praży
I pot mu spływa ciurkiem:
Więc każdy, chce, czy nie chce,
Zostaje w mieście nurkiem....
I chętnie w stronę Warty
Wciąż zdąża ludzka fala,
Bo upał tropikalny
Nurkować tam pozwala!

Ach, rozkosz to prawdziwa,
Gdy żar tak praży pięty,
Zanurzyć się w naszej Warcie
I zgłębić fal odmęty....
Ztąd — fakt to oczywisty —
(Klnę się na swoje zdrowie!)
Że nurków z tej przyczyny
Szerzy się u nas mrowie...

Ot — ktoś narobił długów,
Więc — pewnie ku ochłodzie —
Dał szybko „nura“ z miasta
I znikł, jak kamień w wodzie....
Zet wysłał na wieś żonę,
A sam gdzieś sterczy skrycie....
Hm! Upał! Nic dziwnego!
Dał „nura!“ — jak myślicie! —

X., w kasie pryncypała
Zanurzył zgrzane dłonie
I zaraz dał znów „nura“
Już w innej świata stronie!
Cyklista na wieść o tem,
Że nożem kłują zbóje,
Zanurzył się pod ziemię
I tam się... przechowuje!

Ztąd wniosek więc, że nurków
Plejady mamy w mieście,
Gdyż upał wciąż dokucza
Mężczyźnie i niewieście!

Humorysta „Pracy.“

Adwokat i lekarz.

Adwokat: Spojrzyj pan na mnie, nigdy w życiu nie zażywałem lekarstwa, a jestem zdrowszy i silniejszy od tuzina pańskich klientów razem wziętych.

Lekarz: Spojrzyj pan na mnie — nigdy się nie procesowałem, a jestem bogatszy od dwóch tuzinów pańskich stałych klientów.

Z niedoli ojców bogatych.

— Kolia brylantowa, którą córka moja otrzymała w podarunku od narzeczonego, kosztowała 4282 marki 30 fenigów.

— Zkądże pan wiesz tak dokładnie?

— Jakto, zkąd wiem? Zaraz po ślubie przyszedł do mnie jubiler z rachunkiem i musiałem zapłacić!

Jest sposób.

Izydor. Nieznośne ciepło! Jak też możesz wytrzymać mój Icku, w takim ciężkim chałacie?

Icek. Co ja nie mam wytrzymać? Jak mi za gorąco, to ja zaraz myślę o tych zbójcach w Białogrodzie, którzy tak srodze zabijają ludzi. Wtedy mnie odrazu mróz przechodzi — i ja sobie ochłodzę.

Martwa natura.

— Panie Aronsohn, kup pan ten obraz. Prześliczna martwa natura i kosztuje niedrogo.

— Co mi potem, kiedy ja mam już w domu martwą naturę, która mnie drogo bardzo kosztuje.

— ???!

— Mój zięć, bo on mnie ciągle.... „martwi.“

Łajdak Kropicki.

A.: Co ci się stało? Na kogo tak się odgrażasz?

B.: A na tego łajdaka Kropickiego! Wyobraź sobie, właśnie miałem się oświadczyć jego córce, gdy w tem, ten stary rozbójnik nadchodzi i pyta mnie o cel wizyty... Powiedziałem mu prawdę — wtedy on dał mi w kark, wytargał mnie za włosy, wyrzucił za drzwi, strącił ze schodów i poszczuł psami! Niech by sobie jeszcze raz coś podobnego ze mną pozwolił, to zobaczy, że sobie nie pozwolę w kaszę dmuchać!

Myśli.

Do czasu wodę
Nosi dzban,
Aż urwie
Mu się ucho —
Do czasu wolno
Tylko kraść:
Nie ujdzie
To na sucho!...

* * *

Wszak nigdy oka
Żaden kruk
Krukowi
Nie wykole —
Więc nie dziw żaden,
Że „kruki żyją
Nad stan i piją
I grają dobrze swe role!“ *)

Nie kruk.

*) Nawet bez suflera. — Przypisek zecera.

Dział powieściowy.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

7)

(Ciąg dalszy.)

Na końcu ganku, a raczej kamiennej rury błysnęło jasne światło i nagle dał się słyszeć szmer licznych głosów. Kilku mężczyzn biegało tu i tam, inni stali, a wszyscy rozmawiali żywo, widać, że chodziło im o coś bardzo ważnego.

Ksiądz stanął, i przyłożywszy dwa palce do ust, gwizdnął głośno.

Brzmiało to okropnie w tem kamiennem podziemiu!

Ale zaraz wybiegło dwóch mężczyzn na powitanie przybyłego.

— To on — zawołał jeden z nich — to nasz przewodnik, nasz przyjaciel najlepszy! Niech żyje książe Adam Starzycki!

Książe Adam Starzycki, on to bowiem był owym księdzem La Fontaine, był duszą tajnych związków; cały swój majątek oddał na cele narodowe i myślał jedynie o wybawieniu Polski z pod jarzma rosyjskiego. Żadna ofiara nie była mu zbyt wielką, żadna praca zbyt ciężką — z rozkoszą byłby on życie poświęcił, gdyby śmiercią swoją mógł być odkupić wolność ukochanej ojczyzny.

Gdy Walenty usłyszał nazwisko księcia, cofnął się mimowoli i zdjął czapkę.

Książe uśmiechnął się.

— Wiesz teraz — rzekł — kto jestem. W ubraniu księdza bywam na dworze Konstantyna, inaczej nie byłbym tam uzyskał przystępu. Dużo osób, które wczoraj ze mną, jako z francuzkim duchownym, rozmawiało, znało mnie dawniej już, ale nikt mnie nie poznał. Dawniej nosiłem brodę, byłem inaczej ubrany, no, a teraz wyglądam też zupełnie inaczej.

W tejże chwili zbliżył się do księcia wysoki, stary już mężczyzna, o siwych włosach i bystrych oczach.

— Kogo tam przyprowadziłeś z sobą, mój książe? — zapytał, patrząc uważnie na Walentego.

— To jest służący jednego z moich znajomych — odrzekł książe. — Nie jest on rodowitym Polakiem, ale umie po polsku i ja ręczę za niego.

— A czego on chce od nas? — zapytał znów starzec hrabia Bilewski.

— Walenty służy obecnie u pewnej artystki, panny Teresy Krones i prosi nas, abyśmy mu pomogli znaleść ją. Nieszczęśliwą tę dziewczynę uprowadzono, Bóg wie dokąd, i bądź co bądź, znajduje się ona w wielkiem niebezpieczeństwie. Ale teraz słuchajcie jeszcze czegoś innego, czegoś bardzo ważnego!

Wszyscy obecni, a było ich około stu, zgromadzili się w mgnieniu oka w około mówiącego.

— Moi drodzy przyjaciele — zaczął książe drżącym głosem — przybyłem do was, aby wam oznajmić coś złego. Że wogóle żyję i jestem tu z wami, to zawdzięczam najpierw Bogu, a potem poczciwemu Walentemu. Patrzcie na moja pierś — zawołał — odsuwając koszulę i pokazując zakrwawioną ranę — tę ranę zadał mi człowiek, który podstępnie mnie napadł, człowiek, którego nazwisko znacie, a któremu zamierzałem odkryć miejsce naszych schadzek. Ufałem mu, a on tymczasem.....

— Precz z zdrajcą — krzyknęło kilka głosów — zabić go!....

— Wymień nam jego nazwisko, — zawołał hrabia Bilewski. — Nędznik taki nie powinien dożyć jutrzejszego dnia! Kto to jest?

— Baron Bondi!

— Spamiętamy sobie to nazwisko.

— Zdrajca i szpieg ten, — mówił książę dalej, — napadł mnie z nienacka, zranił sztyletem, na szczęście bardzo tylko lekko — i co najgorsze — ukradł mi moje papiery, w których jest oznaczoną nasza kryjówka! Przyjaciele kochani, nie mamy ani jednej chwili do stracenia — musimy się natychmiast rozłączyć, albowiem Bondi pójdzie zaraz do księcia i pochwali się swojem dziełem. Nie możemy się tu dać schwytać w tej rurze, jak myszy w łapce — nie czekajmy aż Kozacy przybędą — bo tu o obronie mowy być nie może!

— Jesteśmy zdradzeni! Uciekajmy!

— Czekajcie, zawołał książę. — Chwilowo nie grozi nam jeszcze niebezpieczeństwo, Bondi jeszcze u księcia być nie mógł. — Teraz chodzi o odszukanie panny Krones! Jest to znów ten łotr Bondi, który ją porwał — pomóżcie mi odnaleść ją! Może przy tej sposobności ukarzemy nikczemnika!

— Ale gdzie szukać? — zawołał hrabia Bilewski. — Jeżeli nie wiesz, dokąd ją zaprowadził albo zawiózł.... — Rozejdźmy się po mieście i szukajmy dopóty, dopóki jej nie znajdziemy! Bo znaleść musimy go! Pomyślcie tylko — on ma wszystkie moje papiery, i jeżeli je odda jutro Wielkiemu księciu, to po nas!

— Więc dalej! Bierzmy broń i idźmy w imię Boże, zakomenderował Bilewski.

— Idźmy!

— A co zrobicie z tym szpiegiem Bondim, jeżeli go znajdziecie? — zawołał książę.

— Powiesimy go, — odrzekł Bilewski. — Taki łotr nie wart kuli, dla niego najlepszy postronek!

— Na szubienicę z zdrajcą i szpiegiem, — krzyknęli inni.

— A potem obmyślimy ratunek dla naszego przyjaciela Orszańskiego, — dodał jeszcze książę. — Bo on umrzeć niepowinien! Ocalimy go nieprawdaż?

— Tak, tak, chociażby kosztem krwi naszej. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego!

Ale gdy wszyscy, uniesieni zapałem krzyczeli i wołali, i przysięgali śmierć zdrajcy, dały się słyszeć trzy przeraźliwe gwizdnięcia od wejścia do kamiennej rury.

Jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, tak nagle wszystko umilkło.

Twarze spiskowców zbladły.

— To był znak naszej straży, — zawołał książę Adam. — Niebezpieczeństwo jakieś grozi nam — cicho — jeszcze jeden znak — cicho, na Boga, inaczej wszystko stracone!

— Zdrada! — krzyknął teraz Bilewski. — Zdrada, Moskale idą! Do broni!

Równocześnie padły strzały, a stare mury zadrżały od tego przerażającego łoskotu.

— Moskale, Moskale! Walczmy i umierajmy, jak na bohaterów przystało, — krzyczał ciągle Bilewski.

— Wszystko daremne! — dał się słyszeć głos przy drzwiach, i jeden z strażników cały krwią zalany, wczołgał się na próg. — Moskali mnóstwo — brońcie się! Ja — umieram.

I nieszczęśliwy upadł martwy na ziemię.

— Jesteśmy zdradzeni, — rzekł książę Adam ponuro, — Bondi uprzedził nas — uwiadomił on prędzej księcia o wszystkiem, niż myślałem. Wydał mu moje papiery! Nie pozostaje nam teraz nic innego, jak umrzeć, ale sprzedajmy drogo nasze życie. Brońmy się do upadłego!

— Rzućmy się na nich, — radził Bolewski, — może ich zaskoczymy niespodziewanie i zmusimy do odwrotu!

I podniósłszy flintę, biegł naprzód.

Za nim poszli inni.

Walenty schwycił instynktem jakąś broń, i pędził na oślep za księciem Adamem.

Z drugiego końca olbrzymiej rury dał się słyszeć głos dowódzcy Kozaków.

— Poddajcie się, — krzyknął, — jesteście zgubieni! Z kryjówki tej wyjść nie możecie — w imieniu cara wzywam was do złożenia broni!

— Nie poddajemy się i gardzimy wami, — odrzekł książe Adam.

— Szubienica was nie minie, — krzyknął Wielki Książę Konstantyn, on sam wybrał się na czele swoich Kozaków na tę wycieczkę, — szukam was już oddawna, ale teraz mam was wszystkich razem w łapce. Daję wam pięć minut czasu do namysłu — albo się poddacie dobrowolnie i złożycie broń, albo każę was powystrzelać co do jednego. Wybierajcie!

— My nie potrzebujemy ani minuty do namysłu! Ognia, — zakomenderował Bilewski.

Strzały padły — straszne echo odbiło się kilkakrotnie od kamiennych ścian — zdawało się, że mury pękną i przywalą swym ciężarem tę garść bohaterów. Na stronie Kozaków dały się słyszeć przekleństwa i głośne jęki — około trzydziestu leżało na ziemi krwią zbroczonych.

— Naprzód, — krzyknął Bilewski, — na nieprzyjaciela! Szukam cię, Konstanty, szukam cię oddawna, musisz teraz walczyć ze mną na życie i śmierć! Nikczemniku, boisz się, co? Zniszczyłeś mi moje szczęście rodzinne — broń się — broń się—

Starzec krzyczał, ryczał nieomal z wściekłości i szukał oczami księcia, który jednak wolał poza plecami swoich Kozaków stanąć i wydawać rozkazy. Tu czuł się bezpieczniejszym.

Straszliwa rozpoczęła się walka. Strzały huczały, szabli brzęczały w szalonych uderzeniach, walczono z cichą ale z tem gorętszą zawziętością i nie trwało długo, a wał trupów rozdzielił walczących.

Bilewski szukał ciągle Wielkiego księcia.

Walczył on jak lew i razem z księciem Adamem cudów waleczności dokazywał. Gwałtownemi cięciami swego olbrzymiego miecza, ścinał głowy wrogów, jak kłosy, ale nie zadawalniał się tem — największem jego pragnieniem było spotkać się oko w oko z Konstantym!

Walka ciągle jeszcze trwała, chociaż Polacy zaczynali ustępować. Za jednego zabitego Kozaka przychodziło dziesięciu lub dwudziestu innych, jednego zabitego Polaka nikt już nie zastępował. Było ich teraz już tylko około czterdziestu, a wszyscy upadali nieomal z zmęczenia.

Na rozkaz Konstantego przestano strzelać i po raz drugi wezwano Polaków do poddania się.

— Daję wam jeszcze raz pięć minut czasu, — rzekł kapitan, bo książę wycofał się teraz zwolna z podziemia, — poddajcie się! Widzicie sami, że obronić się nie możecie!

Bilewski zamierzał odpowiedzieć, i już usta otwierał, gdy książe Adam schwycił go za rękę.

— Czekaj hrabio, — zawołał — ja mam inny plan!

I szepnął mu kilka słów do ucha.

— Niech cię Bóg błogosławi za to, — odrzekł starzec. — To jest jedyny sposób.... tak! Wydaj zaraz rozkaz cofania się aż do drzwi!

— Przyjmujemy czas do namysłu, — krzyknął książe Adam głośno, — i za pięć minut powiemy wam cośmy uradzili.

Potem skinął na pozostałą garstkę walecznych, i powiedział im, aby się posunęli wgląb rury, aż do ostatecznego jej końca.

— I co dalej zapytał jeden z młodszych.

— Potem otworzymy żelazne drzwi, i wpuścimy wodę!

Po słowach tych krótkie nastąpiło milczenie.

— Zgoda, — odezwał się nareszcie jakiś starzec białowłosy, i wszyscy za nim powtórzyli stanowczo.

— Zgoda!

— Poddać się nie możemy, a czy zginiemy od kuli moskiewskiej, czy woda nas zaleje — wszystko jedno! Razem z nami zginą tym sposobem setki nieprzyjaciół!

Na samym końcu kamiennej rury znajdowały się ogromne i żelazne drzwi, zamknięte za pomocą żelaznego łańcucha. Ale jedno naciśnięcie sprężyny wystarczało, aby łańcuch opadł i drzwi się otworzyły — i wtedy wpadały do wnętrza rury fale wody i zalewały ją w przeciągu kilku minut.

Z tego postanowili teraz skorzystać Polacy. Lepsza śmierć taka, niż z ręki wroga.

— Już cztery minuty — krzyknął kapitan kozaków. — Spieszcie się!

— Walenty, — szepnął książe Adam, — nie oddalaj się odemnie! Śmierć niechybna czeka nas!

— Eh, co tam, — odrzekł poczciwy chłopak z ciężkiem westchnieniem, ja chętnie bym umarł, byleby mój pan i Krones byli uratowani!

— Bóg się nimi opiekuje! A teraz słuchajcie, — dodał głośniej, — mamy jeszcze jeden sposób ratunku! Skoro otworzę żelazne drzwi i gdy woda zacznie napływać, wtedy rzućmy się przeciwko prądowi. Jeżeli nam się uda przetrzymać pierwszy, najsilniejszy nacisk wody, to wypłyniemy na powierzchnię i może — będziemy ocaleni!

— Ocaleni! — szepnął Bilewski, a twarz mu się rozjaśniła. — Dałby Bóg! Może zdołałbym jeszcze pomścić moją rodzinę na tym tyranie moskiewskim!

— Poddajecie się? — krzyknął kapitan.

— Nie!

— A więc — każę strzelać!

— Jak chcesz!

— Raz — dwa — pal.

Ale w tejże chwili rozległ się przerażający okrzyk. Kozacy nie mogli już wykonać rozkazu kapitana. Książę Adam nacisnął sprężynę i w okamgnieniu buchnęła woda z głuchym szumem do wnętrza rury. Jak dziki zwierz wygłodzony, który nagle na zdobycz upragnioną napada, z taką gwałtownością rzuciły się fale rzeki do kamiennego podziemia.

Kozacy w strasznym uciekali nieładzie. Mało ich jednak zdołało ujść, kto nie stał zupełnie blizko drzwi, ten stał się ofiarą wody. Wszędzie słychać było krzyki i jęki tonących woda wpływała teraz wolniej, ale bezustannie i zalewała wszystkie kąty. Setki trupów unosiło się na jej powierzchni.

ROZDZIAŁ XI.

Uwięziona w masce.

Tej samej nocy odgrywała się inna jeszcze scena na wielkim dziedzińcu w cytadeli.

Stało tam mniej więcej dwadzieścia osób, okrytych długiemi, szaremi płaszczami, a widok tych nieszczęśliwych mógł był wzruszyć kamienne serca.

Ciężkie żelazne łańcuchy zwieszały im się u rąk i nóg, wszyscy byli razem związani, jak dzikie zwierzęta, przed któremi się ubezpieczyć trzeba, a przecież to byli ludzie, bezbronni, nieszczęśliwi, z których większa część innej nie popełniła zbrodni nad tę, że ojczyznę zanadto kochała.

Mężczyźni i kobiety a nawet i dzieci tworzyli ogniwa tego żywego łańcucha — wszyscy mieli szare płaszcze z czerwonemi kołnierzami — płaszcze te znano bardzo dobrze w Rosyi, bo otrzymywali je tylko ci, którzy byli wygnani na Sybir, do kraju męczarni i śmierci.

Wszyscy, którzy tu stali na dziedzińcu cytadeli, byli przeznaczeni na wysłanie na Sybir, i tej nocy, o ile możności potajemnie, miała się rozpocząć straszliwa ich podróż.

Już to samo słowo „na Sybir" napełniało serca przerażeniem i trwogą. Była to podróż okropna — pieszo, na nieskończonych pustyniach śnieżnych, a pijani żołnierze popędzali batami śmiertelnie znużonych wędrowców. Ciało z nóg odpadało formalnie — iść jednak każdy musiał. Kto

upadł, kto pomimo bicia iść dalej nie mógł, tego odwięzywano szybko z łańcucha i zostawiano go na łaskę losu.

A jakim był los tych nieszczęśliwych? Setki zgłodniałych wilków towarzyszyły zwykle zdaleka takiemu transportowi na Sybir — zbliżyć się nie śmiały, bo żołnierze celnie strzelali, ale za to, gdy zostawiono kogo na drodze na pół żywego — wtedy rzucały się na niego i w przeciągu kilku sekund nie pozostało po nim żadnego śladu.

A jednak byli tacy, co woleli być rozszarpanymi przez wilków, niż żyć na Sybirze, w strasznych, zabijających kopalniach ołowiu lub żywego srebra. Jakie to tam było



Ciężkie, żelazne łańcuchy zwieszały im się u rąk i nóg, wszyscy byli razem związani, jak dzikie zwierzęta, przed któremi się zabezpieczyć trzeba, a przecież to byli ludzie, bezbronni, nieszczęśliwi, z których większa część nie popełniła większej zbrodni nad tę, że ojczyznę zanadto kochała.

piekło! Kto raz wszedł w podziemną kopalnię, ten już słońca nigdy nie ujrzał. Skuty łańcuchami z jednym lub dwoma towarzyszami, bity, popychany, źle żywiony — przymuszony do pracy nad siły — tak żył tam biedny wygnaniec. Męczarni opisać niemożna — zdawałoby się, że niepodobna, aby człowiek człowieka tak męczyć potrafił. Jedynem szczęściem było, że robotnik w kopalniach nie żył długo — ten dostał pomieszanie zmysłów, ów umarł pod knutem — inny znów był zagłodzony — i któżby tam wyliczył te wszystkie rodzaje śmierci męczeńskiej!

Nieszczęliwi, którzy mieli dziś podróż tę rozpocząć, wiedzieli bardzo dobrze, co ich czeka.

Niektórzy patrzyli na pogodne niebo, zasłane gwiazdami, jak gdyby stamtąd spodziewali się pomocy i wsparcia, inni stali spokojni, obojętni — pogodzili się już z losem i uważali się już za umarłych.

Zupełnie na końcu, nie związane jeszcze z resztą więźniów, stały trzy osoby, dwie kobiety i sześcioletnie dziecko. Jedna z kobiet stara, siwowłosa, pochylała się czule ku tej twarzyczce młodej i bardzo pięknej, i żywo jej coś do ucha szeptała.

Jedna i druga miały na plecach ciężkie miechy z żywnością, naczyniami do gotowania i dwoma parami butów. Ale śnieg niszczy obuwie tak, że po kilku tygodniach wędrówki, szła większa część wygnańców już boso, owijając co najwyżej nogi płatami. Niektórzy i tego nie mieli! —

— Ach matko, — rzekła teraz piękna, młoda kobieta ze łzami w oczach, patrząc, jak starsza zginała się pod ciężarem miecha, — jak chętnie niosłabym twój miech. Ale żołnierze nie pozwalają na to — jeden drugiemu ulżyć nie może! Może po wyjściu z cytadeli będą łagodniejsi!

— Nie troszcz się o mnie, moja córko, — odpowiedziała starsza, prostując nieco swoją arystokratyczną postać, — ten miech mniej cięży, niż myśl, że nigdy już nie ujrzymy naszych kochanych!

— My — nie, — jękła młoda kobieta, — chyba nasza młoda Kasia....

— Jeżeli przetrzyma tę podróż okropną! Nawet to dziecko skazane na zagładę. Okrutnicy nie mają litości nad nami dla tego głównie, że jesteśmy Bilewskie!

— Ach, nie ma dla nas ratunku! Ojciec...

— Mój Boże, ojciec! — szepnęła hrabina łkając, — gdybym ja wiedziała, co się z nim dzieje! Prawie zazdroszczę ci Natalko, tego, że ty wiesz, co się z twoim mężem stało! Wiesz, że umarł jak bohater z ręki kata, możesz go opłakiwać — ale ja! Od trzech miesięcy żadnej od ojca nie miałam wiadomości!

— Wszakże siedziałyśmy całe trzy miesiące w więzieniu, jakże więc mógł ojciec dać nam znać o sobie?

— To prawda! Mam zresztą przeczucie, że on żyje, i że nas pomści!

Głuchy odgłos bębna przerwał im rozmowę.

Drzwi olbrzymiego gmachu otworzyły się i pułkownik rosyjski, otoczony całym orszakiem młodszych oficerów, wyszedł na dziedziniec.

— Cicho stać, gałgany — krzyknął na skazańców, rozwijając równocześnie jakiś papier.

Dwóch kozaków z pochodniami przyskoczyło natychmiast, aby mu przy czytaniu poświecić.

— Przeczytam teraz wasze nazwiska — zaczął znowu pułkownik, — a każdy z was ma głośno i wyraźnie „tak" odpowiedzieć. Usłyszycie po raz ostatni wasze nazwiska, od tej chwili bowiem, staniecie się tylko numerami, i tylko numera stać będą na grobach waszych na Sybirze.

Oczy skazańców spoczęły z nienawiścią i pogardą na tym zuchwałym i niegodziwym człowieku.

Pułkownik wymieniał nazwiska, i za każdym razem odpowiadano mu „tak."

Były to po większej części szlacheckie nazwiska polskie — pomiędzy niemi i bardzo arystokratyczne nawet ale obok nich znajdowali się też mordercy, złodzieje i tem podobni przestępcy z najwyższych stanów. Książę Konstanty kazał zawsze skuć razem przestępcę politycznego z najgorszym mordercą.

— Hrabina Zofja Bilewska — czytał pułkownik dalej.

Stara kobieta podniosła głowę i rzekła głośno:

— Tak!

Pułkownik zbliżył się do niej, spojrzał na nią badawczo i czytał dalej:

— Hrabina Natalja Rolska!

— Tak! — zawołała młoda i piękna córka hrabiny Bilewskiej.

— Katarzyna Rolska — dokończył pułkownik — eh, to dziecko! Dalej, w drogę, marsz! — zakomenderował. — Otworzyć północną bramę! Szczęśliwej podróży!

I śmiał się głośno z swego dowcipu.

Żołnierze podnieśli nahajki i otoczyli ze wszystkich stron skazańców.

— Dalej — marsz!

Biada temu, kto zaraz z miejsca nie ruszył. Kilku żołnierzy świsnęło batami, i bolesne krzyki rozległy się wśród nieszczęśliwych — tego uderzono w głowę — tego w plecy, a czemu i za co — tego nikt nie wiedział! Łańcuchy zadźwięczały, śnieg zaskrzypiał pod nogami więźniów, i tak szli wszyscy ku bramie północnej, strzeżonej przez cały oddział kozaków.

Nagle krzyknął oficer „stój!"

Z drugiej strony dziedzińca biegło czterech oficerów, prowadząc wysoką, silnie zbudowaną kobietę. Była ona także już okryta szarym płaszczem, co dowodziło, że miała iść na Sybir, ale twarzy jej nie można było dojrzeć. Dowodzący oficer nie mógł więc poznać, czy była młodą, czy starą, czy ładną lub brzydką — czarna maska, zawiązana mocno na głowie, nie pozwalała rozróżnić jej rysów.

Aresztantka z zamaskowaną twarzą — to było coś niezwykłego!

Zdarzało się czasem, że ktoś posyłany na Sybir, z wysokiej arystokracyi rosyjskiej, musiał nosić maskę aż do granicy. Nazwiska tych osób nigdy też nie były wymienione.

Tak kazał car, albo książęta.

Jeden z oficerów, którzy przyprowadzili kobietę w masce, zbliżył się teraz do dowódzcy oddziału i oddał mu zapieczętowany list.

Był to rozkaz, aby aresztantkę zaprowadzić aż do gra-

nicy syberyjskiej — tam na ostatnim etapie nowe będą dyspozycje, tyczące tejże osoby.

Aż do granicy nie wolno zdejmować maski z twarzy uwięzionej, nikomu, nawet oficerowi.

Uwięzioną ma się traktować tak, jak wszystkich innych — łańcuchem skuć jej nie potrzeba — ma iść z tymi, którzy także idą bez kajdan.

— A teraz proszę wystawić mi jeszcze kwit — rzekł oficer, — na odstawienie panu kobiety z maską. I jeszcze jedno — uwięziona ma mieć numer 21.

— Bardzo dobrze! — Numer 21 — stań tutaj, obok tych dwóch kobiet i dziecka! Dalej, marsz!

Ale zaledwie ruszono z miejsca, gdy znów jakiś żołnierz, na spienionym koniu wpadł na dziedziniec, krzycząc z daleka już „stój!“

I ten także przywiózł list

Oficer wściekał się.

— Ile to zachodu z tymi łajdakami — krzyczał, — ciągle jakieś listy i przeszkody! O co tam znowu chodzi?

— Ułaskawienie — odrzekł poseł, oddając mu list, — ułaskawienie dla hrabiny Rolskiej. Car sam podpisał rozkaz uwolnienia jej!

— Znowu niepotrzebna zmuda — unosił się oficer — wieczna robota z zapisywaniem — ciekawy jestem, na co ułaskawiają taką kobietę, która tylko o rewolucyi myśli! Ale rozkaz cara — trzeba słuchać!

I mrucząc ciągle rozmaite przekleństwa, zbliżył się do kobiet i dziecka.

— Hrabino Rolska — rzekł głośno — mam pani do oznajmienia, że nie potrzebujesz iść na Sybir. Car panią ułaskawił — jesteś wolną!

Młoda kobieta krzyknęła, ale nie był to krzyk radości.

— Wolną! — powtórzyła — a moja matka — moje dziecko?

— Pójdą na Sybir!

— I to nazywa car łaską! — roześmiała się szyderczo hrabina. — Jaki ten wasz car dobry! Rozłącza matkę z córką — ah, powiedz pan carowi, że ja tej łaski — nie przyjmuję!

— Cicho, na Boga, cicho! — zawołała hrabina Bilewska, przerażona słowami córki — czy chcesz się sama zabijać, mogąc być uratowaną? Nie słuchaj pan, co ona mówi, — dodała błagalnie, zwracając się do oficera — ona jest tak uszczęśliwioną i wzruszoną łaską najjaśniejszego cara, że nie wie, co mówi! Moja córka dziękuje pokornie za dobroć jego i przyjmuje ułaskawienie — ach, moja córka — ona wolną będzie!

Sędziwa matka rzuciła się w objęcia hrabiny i obiedwie głośnym wybuchnęły płaczem.

Tajemnicza kobieta z maską na twarzy stała przy nich i przyglądała się z widocznem zajęciem tej wzruszającej scenie. Oficer patrzał więcej na nieznajomą, niż na płaczące, i teraz udało mu się dojrzeć kilka złotych kędziorków, wysuwających się z pod czapki skazańca.

— Pani hrabina jesteś wolną, — rzekł po chwili zwracając się do pani Rolskiej, — możesz opuścić natychmiast cytadelę, ale jeżeli pani chcesz, możesz towarzyszyć matce i córce aż za miasto. Potem jednak musisz się wrócić, dalej iść nie wolno!

— Dziękuję panu, — odpowiedziała hrabina.

Przypadkiem spojrzała teraz na zamaskowaną towarzyszkę i — aż zadrżała z radości.

Oficer odszedł już, kobiety na chwilę zostały same.

— Proszę, błagam cię raz jeszcze, — mówiła matka, — nie odrzucaj ułaskawienia!

— Nie, matko, ja go przyjąć nie mogę! Nie wiem dlaczego mnie ułaskawiono, w jakim celu...... komu to zawdzięczam...... nie, za nic w świecie! Nie mogę się rozłączać z tobą i z mojem dzieckiem jedynem, ach, umierałabym codziennie sto razy, myśląc o was — o waszych męczarniach..... Matko, żądaj odemnie wszystkiego, tylko nie tego! Ja nie opuszczę was — nigdy, nigdy!

I nieszczęśliwa kobieta gorżkiemi zalewała się łzami.

— Jesteśmy wszyscy w ręku Boga, — próbowała jeszcze raz hrabina przekonać córkę. — Ja się będę opiekować twoją Kasią, będę jej strzegła, póki Bóg mi żyć pozwoli, ty zaś — zostań w Warszawie i szukaj ojca! Może on ciebie potrzebuje więcej, niż ja!

— Ojciec ma przyjaciół i ci go nie opuszczą! Nie, matko, ja z wami iść muszę! Przyszło mi na myśl...

I nie dokończywszy zdania, zbliżyła się do zamaskowanej kobiety.

— Słuchaj pani, — szepnęła, — mam do ciebie prośbę. Nie wiem kto jesteś, ale nie musiałabyś mieć serca, gdybyś nie wysłuchała zrozpaczonej matki i córki. Ułaskawiono mnie, ale ja nie przyjmuję tej łaski cara, ja muszę iść z moją matką i dzieckiem, i żadna siła ludzka od tego mnie nie odwiedzie!

— Masz pani słuszność, — odrzekła kobieta w masce. — Idź z niemi! Tysiąc razy lepiej umierać z tymi, których się kocha, niż żyć bez nich!

— Ah, domyślam się, że i pani kochasz.....

— Tak, ale miłość moja jest beznadziejną!

— Zmiłuj się pani nademną! — zawołała teraz hrabina z płaczem. Ratuj mnie! Dam pani wolność w zamian za twoją — maskę!

— Ah, rozumiem! Pani chcesz mej maski, aby towarzyszyć matce i dziecku — ale czy pomyślałaś, że tym sposobem zrzekasz się na zawsze twej wolności? Nie pożałujesz tego, gdy cię otoczy pustynia śnieżna, gdy wilki stepowe wyć będą w oczekiwaniu na twoje ciało?

— Nigdy! Jakżebym miała być tu spokojną wiedząc, na co są narażone moja matka i córka! I ja miałabym je opuścić w takiem niebezpieczeństwie? Nie! Daj mi pani prędko maskę, płaszcze nasze równe — jesteśmy równe wzrostem, kolorem włosów.

W następnej chwili znajdowała się maska nieznajomej już na twarzy hrabiny Natalji Rolskiej.

Stało się wszystko tak prędko, że nikt z otaczających, najmniej zaś hrabina Bilewska, nie spostrzegł tej zamiany. Natalja z wdzięcznością uścisnęła rękę nieznajomej.

— Dziękuję pani, — szepnęła.

— I ja dziękuję! — zawołała nieznajoma, której piękna twarz ukazała się teraz z pod czapki więziennej. — Pani dałaś mi więcej, niż wolność, niż życie! Ach, jakże jestem szczęśliwą, że mogę pozostać w Warszawie, bo mnie miłość sama zatrzymuje mnie tutaj — nie miłość, tylko — zemsta!

— Chcesz się pani zemścić na kimś? I na kim to?

— Nie domyślasz się pani? Kto unieszczęśliwił twoją matkę i ciebie, kto wam zabrał wszystko, kto kazał mordować waszych mężów i ojców?

— Ah, mówisz pani o Wielkim księciu Konstantym?

— Tak, — zawołała młoda dziewczyna dziwnie ostrym głosem, — chcę się pomścić na nim!

— Kto pani jesteś? — spytała Natalja. — Niechże wiem przynajmniej, komu zawdzięczam tę łaskę, i czyją rolę mam pod maską odgrywać!

— Kto jestem. — — Może byłoby lepiej, gdybym zataiła moje imie, ale pani masz prawo poznania go — otóż — jestem Fedorą, córką Wielkiego księcia Konstantego!

Natalja cofnęła się przerażona.

Jak mogła córka mścić się na ojcu! Natalja wychowana niezmiernie religijnie i kochająca z całego serca rodziców, nie mogła wcale pojąć czegoś podobnego. Nienawidziła sama szczerze księcia Konstantego, ale czy córka jego nie musiała go kochać, czy to nie było jej najświętszym obowiązkiem?

Zanim jednak zdołała Fedory o powód tej nienawiści zapytać, wyszedł oficer z podpisanym kwitem, oddał go posłańcowi cara, i pochód ruszył.

Tym razem nikt go już nie zatrzymywał.

Skazańcy szli parami, a otaczało ich kilkudziesięciu Kozaków z dobytemi pałaszami. Oprócz tego było jeszcze kilkunastu z nahajkami i batami.

Na czele pochodu szła stara hrabina Bilewska z maleńką wnuczką, za nią Fedora z Natalją. Potem dopiero szli więźniowie skuci razem łańcuchami.

Smutny ten pochód posuwał się wolno i cicho na ulicach miasta w cieniach nocy.

Nie trąbiono, nie bębniono, a więźniom przykazano surowo, aby łańcuchy nie dźwięczały; mieszkańcy Warszawy nie mieli się obudzić, i patrzeć na smutny ten widok!

Teraz zbliżono się do ostatniej bramy.

Oficer kazał stanąć.

— Jesteśmy przy bramie, — zawołał z konia, — i każdy, kto do skazańców nie należy i kto na Sybir nie idzie musi się tu ztąd oddalić. Gdzie jest hrabina Rolska?

Fedora wysunęła się nieco naprzód.

— Pożegnaj pani matkę i dziecko — najwyższy czas!

Hrabina Bilewska i mała Kasia rzuciły się ku mniemanej Natalji, ale w tejże chwili uderzył jeden z Kozaków tak silnie hrabinę nahajką w plecy, że się zachwiała i upadła.

— Dalej, dalej — krzyczał, — tu się nie odgrywa komedyi!

— Naprzód — marsz, — zabrzmiały słowa komendy. Hrabina podniosła się i ruszono dalej.

Po chwili znikło wszystko w cieniach nocy — Fedora została sama. Nikt jej nie zatrzymywał, wszakże uważano ją za hrabinę Rolską!

— Bądź zdrowa, dobrodziejko moja, — szepnęła, myśląc z wdzięcznością o Natalji, — ty mnie ocaliłaś! Ale dokąd ja teraz pójdę? Do domu ojca mego — nie mogę, tam wrócę dopiero wtedy, gdy się nasycę moją zemstą — do moich dawniejszych przyjaciółek także nie, bo one by mnie zdradziły. Muszę sobie na dzisiejszą noc poszukać jakiego schronienia, a jutro obmyślę dalszy plan mego postępowania! Księżniczka rosyjska — bez dachu! Jak to zabawnie! Ale poczekajcie!

I zacisnąwszy silne pięści, szła drogą, wiodącą do małego, opuszczonego pałacyku książęcego, leżącego już za miastem. Tam chciała noc dzisiejszą przepędzić.

Na zegarach wybiła godzina pierwsza.

Fedora biegła szybko i stanęła wkrótce przed pałacykiem, pogrążonym w największej ciemności.

Drzwi frontowe były zamknięte, ogrodowego, który pilnował domu, budzić nie mogła, ale przypomniało jej się że od strony podwórza znajduje się małe okno na dole, którem nieraz będąc dzieckiem, wychodziła rano do ogrodu. Obeszła więc pałac i ku niezmiernej swej radości okno owe znalazła. Ostróżnie, bez szelestu, wytłoczyła jednę z małych szyb, odsunęła rygiel i zaraz potem była w pałacu.

Zaledwie też znalazła się w jednym z pokoi, gdy zmęczona i na pół żywa, upadła na kanapę.

Nawet dla silnych nerwów Fedory było to, co od trzech dni przechodziła, zbyt ciężkiem, a wypadki ostatniej nocy, i cudowne nieomal ocalenie jej, wszystko to oddziałało za mocno na całe jej usposobienie.

Z westchnieniem ulgi wyciągnęła zdrętwiałe członki na miękkiej kanapie, okryła się grubą aksamitną serwetą ze stołu, i usnęła w tem przeświadczeniu, że nikt jej tu szukać nie będzie.

ROZDZIAŁ XII.

Kto mocniejszy?

Zostawiliśmy Teresę Krones w położeniu prawdziwie rozpaczliwem.

Bondi zostawił ją na chwilę samą — pamiętając bowiem o wszystkiem, poszedł do ogrodowego, obudził go, wręczył mu papiery znalezione u księcia Adama, i pod karą śmierci kazał ogrodnikowi zanieść je natychmiast do zamku księcia Konstantego.

Potem wrócił do pokoju, w którym się znajdowała Teresa.

— Baronie Bondi — zawołała młoda dziewczyna oburzona — oszukałeś mnie i okłamałeś! Ubranie księdza nie należy ci się wcale, nie jesteś godnym....

— Tak jest — przerwał nędznik z uśmiechem — dla tego zrzucam je zaraz z siebie. Czy w stroju salonowym podobam ci się lepiej?

Teresa odwróciła się i milczała.

— Słuchajno, — zaczął Bondi, przysuwając sobie do niej krzesło, — mam z tobą o czemś ważnem do pomówienia.

— Ale ja słuchać nie chcę i nie będę! — zawołała Teresa stanowczo. — Żądam, abyś mnie pan ztąd natychmiast wypuścił — jakiem prawem śmiesz mnie tu zamykać? Czy myślisz, że ja mogę tak łatwo zniknąć, jak każda inna nieszczęśliwa dziewczyna, którą byś uprowadził? Nie, sam książę każe mnie szukać, całe miasto pytać o mnie będzie, i wtedy biada panu, jeżeli się wyda twoja niegodziwość! Wielki książę szanuje mnie i ceni, i on sam pomści wszelką obelgę, jakiej doznam!

— Ha, ha, ha, — rozśmiał się Bondi głośno — to dobre! Wiedz, moja piękna, że z wiedzą i wolą księcia zwabiłem cię do tego domu! Jesteś moją i nikt mi ciebie nie wydrze! Otrzymałem cię w nagrodę za to, że wydałem w ręce księcia hrabiego Henryka Orszańskiego!

— Ach — krzyknęła Teresa z rozpaczą — teraz rozumiem wszystko! I pan śmiesz się zwać szlachcicem, i nie wstydzisz się przestawać z uczciwymi ludźmi? Szpieg i zdrajca! Ja gardzę tobą!

— Może być, ale pomimo to będziesz moją! Twój narzeczony uderzył mnie w twarz — ja mu za to ciebie zabiorę.

— Chyba mego trupa!

— O nie! Będziesz moją żoną! I teraz napiszesz mi tu — rzekł Bondi, wyjmując z kieszeni arkusz papieru, pióro i kałamarz — małe poświadczenie, że dobrowolnie przyjmujesz moją rękę i że mnie kochasz!

— Nigdy! Wolałabym umrzeć!

— Więc umrzesz! Albo napiszesz ten krótki liścik, który Henryk jeszcze przed śmiercią czytać będzie, albo jedno pchnięcie sztyletem i sławna artystka, Teresa Krones, przestanie żyć! O jednem lub drugiem dowie się twój narzeczony. Jak myślisz — która wiadomość więcej go zmartwi?

I Bondi śmiał się złośliwie.

Teresa przypomniała sobie teraz, że i ona ma sztylet. Czy nie mogłaby się rzucić na tego nikczemnika i zabić go? — Bóg wybaczyłby jej ten czyn, ludzie to samo! Wszakże walczyłaby w własnej obronie — on groził jej śmiercią i z dwojga złego wolałaby już umrzeć, niż zostać jego żoną. Więc zabije go!

— No i cóż, namyśliłaś się? — zaczął znowu Bondi. — Umierać w tym młodym wieku, to nie bardzo przyjemnie, lepiej już pewnie zostać baronową Bondi! Jestem majętny, mam łaski u Wielkiego księcia, mogę wysoko jeszcze stanąć — wcale to nie złe widoki dla ciebie! A co najgłówniejsze — zemszczę się na Orszańskim! Musisz sama przyznać, że jedynem dla ciebie wyjściem jest — zaślubić mnie. Twój narzeczony umrze za trzy dni, a ciebie niktby już przecież nie wziął. Postarałbym się w danym razie o to, aby się wszyscy dowiedzieli, gdzie i z kim byłaś dzisiejszej nocy!

— Szatan prawdziwy szepnęła Teresa.

— Tak jest! W każdym razie wiem czego chcę i czy tak czy owak — dochodzę do celu. Proszę więc napisać tu czuły list do mnie — że kochasz mnie — ale czekaj, ja ci podyktuję! Najdroższy mój.... o, cóż to, czyś zmysły straciła? — krzyknął więcej zdumiony niż przestraszony.

Teresa wyjęła swój sztylet i szła ku niemu śmiało, z podniesioną ręką.

— Otóż to moja odpowiedź — zawołała — umieraj nędzniku!

Bondi rozśmiał się.

— No proszę, jaka odważna — rzekł. — Ale ja się ciebie nie boję! Patrz — i uderzył ją tak silnie, że ręka z sztyletem opadła bezwładnie. — Teraz jednak zmuszę cię do napisania tego listu — dodał szorstko. — Żartować z siebie nie pozwolę!

Teresa nie byłaby za nic w świecie napisała słów, któreby byłyby tak ciężko Henryka zmartwiły, wiedziała zaś napewno, że Bondi chce niemi zatrzeć rzeczywiście ostatnie chwile ukochanego.

— Nie! Nie napiszę!

Bondi zbliżał się ku niej, oczy jego błyszczały dziko, jak oczy tygrysa, rzucającego się na swoją zdobycz.

— Ale ja cię zmuszę do tego, — szepnął.

Teresa rzuciła się jak szalona ku jakimś drzwiom — nacisnęła klamkę i wybiegła do przyległego pokoju, wołając głośno:

— Ratunku! pomocy!

Okropna rozpoczęła się teraz gonitwa. Teresa uciekała z pokoju do pokoju, biegnąc na oślep, Bondi pędził za nią i już — już chciał ją schwytać, gdy ostatnim wysiłkiem zatrzasła drzwi za sobą i zasunęła rygiel. Na chwilę była bezpieczna, ale jak długo to mogło trwać? Drzwi były stare i spróchniałe — można je było łatwo wyłamać, a wtedy....

— Zabiję się sama, — rzekła głośno, — sztylet mam przy sobie!

— Otwieraj! — krzyczał Bondi, — szarpiąc drzwiami. — Nie ujdziesz mi! Pokój, w którym się znajdujesz nie ma drugiego wyjścia! Otwieraj!

— Cicho — milcz — dał się w tejże chwili słyszeć obok Teresy jakiś dźwięczny głos.

— Boże....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENE BAZIN.

20) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Młody porucznik uczuł jakiś zimny dreszcz około serca. Zmrużył na chwilę oczy, robiąc gwałtowny wysiłek, ażeby pozornie zapanować nad swem wzruszeniem, i to mu się udało. Był blady, ale żaden muskuł jego twarzy nie drgnął, kiedy się znów zwrócił do wachmistrza;

— Jedno wam tylko pozostaje do zrobienia, Hamm, a mianowicie: uprzedzić komendanta. On zbierze potrzebne informacye... i zrobi... to, co jest przepisane w podobnym wypadku.

Miał nawet dosyć siły, by spojrzeć na zegar z saskiej porcelany, ozdabiający jego biurko, dodając:

— Pierwsza czterdzieści. Musicie się spieszyć.

Wachmistrz ukłonił się i oddalił pospiesznie.

Młody oficer zaś pobiegł co prędzej do znajdującego się obok pokoju służbowego i zażądał połączenia telefonem z agentem policyjnym stacyi kolei żelaznej. W dziesięć minut później dzwonek zawezwał go do telefonu i wtedy Farnow dowiedział się, że ochotnik 9-go pułku huzarów, w mundurze, z walizką, przybył w ostatniej chwili na stacyę i wziął bilet pierwszej klasy do Russ-Hersbach.

— Nie! to niemożliwe! — wykrzyknął Farnow, rzucając się na kanapę w swoim gabinecie. — Zaszła jakaś pomyłka... Russ-Herbach, to prawie granica, a Jan nie może zbiedz, przecież jest zakochany... On musi być w Alsheimie... W każdym razie chciał pewnie zobaczyć Otylię... Zaraz się dowiem...

Uderzył pięścią o mahoniowe biurko.

— Herman!

Ordynans, ospały, pleczysty Niemiec, przymknął drzwi.

— Osiodłaj konia mnie i sobie! Natychmiast!

Ubrał się prędko i zbiegł po schodach. Na ulicy stały już osiodłane konie. Przeleciał Strassburg, minął szańce fortyfikacyi i szybkim kłusem popędził drogą ku Obernai.

Im więcej zbliżał się do Alsheimu, z tem większą pewnością narzucała mu się myśl o ucieczce Jana. Przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły rozmowy z panią Oberle i inne jeszcze dowody, ostrzegające go o nieszczęściu, z którem dumna jego wola chciała walczyć do ostatniej możliwości.

— On tak mało rozumiał Niemców... sam się z tem chwalił u radcy Brausiga... A potem... to rozdwojenie w rodzinie, które moje zaręczyny uwydatniły jeszcze silniej... Jednak on także jest zaręczony... a przynajmniej kocha i jest kochany... Takie zaś, jak on, natury, natury francuskie dają się unieść uczuciu... Nie, ja go tam niewątpliwie zastanę... albo dowiem się czegoś pewnego.

Upał był silny, droga bez cienia, tuman kurzu roztoczył się przed oczami jeźdźców, przysłaniając zżęte pola. Niebo było jakieś zamglone, miedzianej barwy. Na widnokręgu, po za Wogezami, słały się obłoki, nieruchome i ozłocone promieniami słońca.

Spocone konie pędziły ciągle wyciągniętym kłusem. Około chat, krytych słomą, bawiły się wiejskie dzieci, śpiewając wesoło i zbierając orzechy, osypujące się z drzew.

Herman myślał:

— Pan porucznik stracił chyba rozum — pędzi coraz szybciej.

W miarę zbliżania się do Alsheimu, zwiększał się niepokój Farnowa.

— A jeżeli go tam nie zastanę... jeżeli on istotnie....

Obernai zostało na prawo. Boczną drogą galopował Farnow ku Alsheimowi.

Wkrótce oczom jego ukazał się otoczony zielenią drzew błękitny dach mieszkalnego domu rodziny Oberle.

— O, Lucyno! Lucyno! Lucyno!

W domu Oberle panowała jakaś senność, wywołana upałem, zwiastującym burzę; jeden tylko głos słaby i monotonny przerywał ciszę tego dnia jesiennego. Był to głos pani Moniki Oberle. Siedząc przy fotelu chorego dziadka, który już nie opuszczał swego pokoju, czytała głośno „Journal d'Alsace,“ przyniesiony przed chwilą z poczty. Na dole, w sali bilardowej, p. Józef Oberle drzemał w cieniu firanki, trzymając na kolanach kilka listów i numer gazety: „Strassburger Post“. W drugim końcu pokoju, także w cieniu, Lucyna, pochylona nad biurkiem, pisała listy. Przez otwarte okno dochodził z góry monotonny szmer głośnego czytania, przypominając rytmiczne odmawianie różańca.

— Proszę pana! panie Oberle!

Przemysłowiec zerwał się z krzesła, wyprostował szybko i otworzył lekko przymknięte drzwi. W sieni zobaczył stróża, który mu robił jakieś znaki.

— Po co mnie wołasz? Wiesz, że tego nie lubię.

Po krótkiej rozmowie pan Oberle wrócił do pokoju rozjaśniony.

Moja Lucynko, pan Farnow oczekuje na ciebie przy sztachetach parku.

Poskoczyła ku niemu, oblana rumieńcem.

— On? dlaczego nie wszedł tutaj?

— Zdaje się, że przyjechał konno i bardzo się spieszy. Zresztą, może się nie ośmiela wejść... Idź, moja droga, i przyprowadź go tutaj. Powiedz mu, że może się nie obawiać żadnego skandalu. To moja rzecz, zapobiedz wszelkiej nowej scenie.

I gestem ręki pokazał jej, że gotów jest zamknąć wszystkie drzwi, prowadzące na górę, zkąd dolatywały monotonne dźwięki.

Spojrzała w lustro i poprawiła włosy.

Ojciec powtórzył:

— Spiesz się, mój skarbie, on chce cię widzieć. Jeżeli nie wrócicie prędko, przyjdę po was.

Uśmiechnęła się do ojca i przeskakując po dwa stopnie schodów, przebiegła ganek i wpadła do alei, szczęśliwa, lekko zmieszana, z ustami wpółotwartemi, oczami szukając Farnowa.

Zaledwie na końcu alei, prawie na samym zakręcie, koło domku odźwiernego, ujrzała przy drodze dwa spocone konie, które ordynans trzymał za uzdy. W tej samej chwili na tle parkanu zarysował się cień postaci młodego oficera, który się do niej zbliżał szybkim krokiem.

— Mój Boże! Jaką twarz czerwoną ma dzisiaj ten blady zwykle Farnow! A jaki stroskany! I ten pośpiech gwałtowny nie jest bynajmniej dowodem radości, bo nie odzywa się do niej, chociaż ona biegnie na jego spotkanie, starając się wywołać uśmiech na drżące wargi.

— Dzień dobry, Wilhelmie! Co za miła niespodzianka!

Chwyta jej rękę, ale nie całuje gorąco, jak to zwykł czynić zawsze, nie patrzy na nią z zachwytem, który tak lubi czytać w jego stalowych oczach, tylko pociąga ją gwałtownie do poblizkiego składu drzewa.

Purpurowe usta dziewczyny uśmiechają się uparcie, nie tracą odwagi, chociaż straszny niepokój serce ściska.

— Porywasz mnie, Wilhelmie? Co to wszystko znaczy? Czemu mój ukochany wita mnie dzisiaj inaczej, niż zwykle? Ty, zawsze tak poprawny!...

— Chodźże prędzej! Tu nas nikt nie zobaczy...

U wejścia do składu drzewa znajdowało się coś w rodzaju niszy, utworzonej z trzech stosów desek. Farnow pociągnął tu Lucynę i puścił jej rękę.

— Czy Jan jest u was? Uważaj dobrze: czy Jan jest w Alsheimie?

Cały niepokój, brawura i siła młodości skupiły się w oczach Farnowa, kiedy oczekiwał na odpowiedź narzeczonej. Zdawało się, że chce rozkazywać grożącemu nieszczęściu.

— Ależ nie — odparła ze zdziwieniem Lucyna.

— W każdym razie oczekujecie na niego?

— Bynajmniej.

— A, w takim razie, Pani, jesteśmy zgubieni!

— Pani?

— Tak. Jeżeli go niema tutaj, to znaczy, że zbiegł do Francyi.

— Ach!

Dumna dziewczyna zachwiała się. Zdawało się, że upadnie, ale oparła się o deski; wzrok miała błędny, ramiona rozwarte...

— Zbiegł do Francyi?... Zgubieni?... Czyż nie widzisz, że zabijasz mnie podobnemi słowami?... Czyżby Jan istotnie?... Czy jesteś tego pewny?...

— Ponieważ niema go tutaj... tak, jestem pewny... Wziął bilet do Russ-Hersbach, czy rozumiesz, do Russ-Hersbach... Pewnie już teraz przebył granicę. Już przeszło trzy godziny, jak opuścił Strasburg.

Zaśmiał się jakimś dziwnym śmiechem, w którym ból mieszał się z gniewem.

— Czyż nie pamiętasz? Przecież on przysiągł matce, że wstąpi do koszar. Ale obietnica kończyła się dzisiaj... I on zbiegł... A teraz...

— Tak... teraz...

Lucyna nie żądała już dowodów; uwierzyła w zupełności. Pierś jej poruszała się przyśpieszonym oddechem. Ręce, któremi kurczowo ściskała deski, złożyły się błagalnie.

Farnow wyglądał jak posąg boleści.

Zmuszona była powtórzyć swoje zapytanie:

— Co chcesz teraz czynić, Wilhelmie?

Farnow stał przed nią nieruchomo, z twarzą zmienioną, okryty kurzem; po chwili rzekł cicho:

— Rozstać się z tobą.

— Rozstać się ze mną, dlatego, że mój brat...

— Tak.

— Ależ to szaleństwo! co ty mówisz!

— To obowiązek żołnierza.

— A więc nie kochasz mnie wcale!

— Ha! Czy ja cię kocham!!... Ale honor mi nie pozwala zaślubić ciebie. Nie mogę być szwagrem dezertera, ja oficer pruski, ja Farnow!

— A więc przestań być oficerem, ale kochaj mnie! — zawołała Lucyna, wyciągając ręce ku błękitnej postaci, jak posąg nieruchomej. — O, Wilhelmie, prawdziwy honor nakazuje ci kochać Lucynę Oberle i nie porzucać jej... nie łamać danego słowa. Zostaw w spokoju mego brata... niech idzie, dokąd chce... Pocóż łamać dwa życia!

Farnow zaledwie mógł mówić. Muskuły na jego szyi nabrzmiały. Po chwili milczenia opanował się i rzekł:

— Sprawa stoi gorzej, niż myślisz, ale trzeba, żebyś wiedziała całą prawdę, Lucyno... jestem zmuszony zadenuncyować Jana!

— Zadenuncyować Jana! Nie, ty tego nie zrobisz — zawołała, cofając się gwałtownie. — Ja ci zabraniam stanowczo!

— Uczynię to zaraz. Zmusza mnie do tego prawo wojskowe.

— To nieprawda! Prawo nie może być tak okrutne.

— Zaraz się przekonasz... Herman!

U wejścia do alei ukazał się ordynans, ogłupiały i zmęczony szybką jazdą. Zatrzymał się o dziesięć kroków od Lucyny i Farnowa.

— Słuchaj mnie uważnie! Przypomnij sobie dobrze i powiedz, co nakazuje artykuł kodeksu wojskowego temu, kto się dowie o zamiarze dezercyi?

Żołnierz pomyślał trochę i jednym tchem wyrecytował:

— Ten, kto się dowie ze źródeł wiarogodnych o zamiarze dezercyi, w chwili, gdy jeszcze można temu zapobiedz, i nie uprzedzi odnośnej władzy, podlega karze więzienia do dziesięciu miesięcy, w czasie wojennym zaś do trzech lat.

— Prędko, do koni! — krzyknął Farnow. — Jedziemy!

A zwracając się do narzeczonej, dodał:

— Żegnaj, ukochana!

Pobiegła ku niemu i schwyciła go za ramię.

— Nie, nie! — wołała z rozpaczą w głosie — ty nie możesz mnie porzucić, ja nie chcę, nie chcę!...

Patrzył chwilę na jej twarz zalaną łzami, tonąc spojrzeniem w oczach, przepełnionych gorącą miłością i bólem niezmiernym.

Ona powtarzała napół przytomnie:

— Ja nie chcę! Czy ty rozumiesz?... Nie chcę!...

Farnow pochwycił ją w ramiona podniósł z ziemi, przycisnął mocno do piersi i długo, namiętnie całował te oczy, których już więcej nie chciał oglądać.

Rozpaczliwa gwałtowność tego uścisku przekonała Lucynę, że to naprawdę ostatnie pożegnanie.

Odtrącił ją szorstko, pobiegł szybko ku sztachetom, wskoczył na siodło i galopem popędził ku Obernai.

ROZDZIAŁ XV.

W lesie des Minieres.

Noc zapadała. Jan nie wyszedł jeszcze z lasów niemieckich; spał teraz na posłaniu z mchów i igieł jodłowych, a pan Ulrych czuwał, czy jakie nowe zło nie grozi, dotąd przejęty niebezpieczeństwem, które ominąć potrafili. Spoczywali teraz między dwoma stosami chrustu; gałęzie jeszcze świeże zieleniały około nich, dając im pewniejsze schronienie. Szerokie płaty konarów falowały pod tchnieniem burzliwego wichru. Żaden inny głos nie dochodził tych wyżyn.

Pan Ulrych i jego synowiec spędzili około dwóch godzin w tem chruścianem zaciszu.

Kiedy pociąg stanął w Russ-Hersbach, wuj Ulrych odrazu zrozumiał, że Jan nie mógł teraz zmieniać ubrania. Taka prosta czynność zwróciłaby zbyt wiele uwagi w pasie granicznym, pełnym widzialnych i niewidzialnych opiekunów, w którym kamienie słyszą, a drzewa widzą. Klnąc w duchu, wuj Ulrych oddał walizkę woźnicy, którego przed trzema dniami przedtem zamówił w Schirmeck.

— Potrzebny dodatek! — mruknął. — Lekki na szczęście. Jazda!

Konie ruszyły drogą przecinającą biedną wioskę, doszły do Schirmecku, tu skręciły na prawo, w wąską i krętą dolinę, wiodącą do Grand-Fontaine. Jadący nie zauważyli dotąd żadnej niepokojącej oznaki, zwiększała się tylko ilość mimowolnych świadków domniemanej wycieczki. Pomimo zasuniętych firanek, pomimo pledu, który pan Ulrych zarzucił na jaskrawą kurtkę siostrzeńca, mundur 9-go pułku huzarów zauważyli niewątpliwie dwaj żandarmi z Schirmecku i robotnicy w łomach kamiennych, ciągnących się wzdłuż drogi za miastem; wreszcie dojrzał go strażnik graniczny, który palił fajkę i przyjemności tej nie przerwał na widok jadących. A pan Ulrych myślał: „Roześlą alarmowe sygnały; już je może rozesłali i którykolwiek z tej chmary agentów państwowych podejdzie do nas, zapyta i każe iść za sobą cokolwiekbyśmy odpowiedzieli.“ Nie podzielił się jednak temi obawami z Janem, a ten znów pełen był otuchy, odwagi, wręcz przeciwnie, niż wczoraj.

Pomino kamienistej drogi, powóz toczył się szybko w górę i wjechał do Grand-Fontaine. Przed jadącymi roztaczała się aksamitna, złocona zieleń buków z Donon, nad któremi strzelały w górę jodły. O 2-ej minut 15 konie stanęły w środku wioski, na placu, przy źródle, spływającem po kamiennem łożysku. Podróżni wyskoczyli z powozu; dalszą drogę można było przebyć tylko pieszo.

— Czekajcie na mnie w oberży Remigiusza Naeger — rzekł pan Ulrych do woźnicy. — Za godzinę wrócimy... Dajcie koniom podwójną porcyę owsa, a sami weźcie sobie na mój rachunek butelkę wina z Molsheimu.

Pan Ulrych i Jan skierowali się teraz na lewo idąc wąską ścieżką wśród domów, ogrodów i płotów, która łączy Grand-Fontaine z wioską Minieres, ostatnią w dolinie. Zaledwie uszli ze dwieście metrów, dojrzeli leśnika z Mathiskopfu, który szedł w ich kierunku. Leśnik wychodził właśnie z domu w Minieres, miał na sobie kapelusz tyrolski i spencer zielony; jedyną jego drogą mogła być ta ścieżka.

Pana Ulrycha lęk ogarnął.

— Janie — szepnął — wolę później spotkać się z tym mundurem. Skoczmy w las.

Las stał na lewo. Jodłowy las Matahiskopfu, a dalej gęsto zarośnięte stoki Corbeille, idące coraz wyżej; tam o schronienie łatwo. Przeskoczyli przez płot, przebiegli parę sążni łąki i ukryli się w cieniu jodeł. Była ku temu pora. Zarząd wojskowy w Strassburgu wiedział już o ucieczce Jana; telefonem zawiadomiono urząd celny w Grand-Fontaine i inne w okolicy, aby zapobiegły dezercyi ochotnika Oberle. Leśnik, który dotąd o niczem jeszcze nie wiedział, nie ukazał się więcej, jednak Jan i pan Ulrych, ten ostatni patrząc przez lunetę, zauważyli szybko zatrważający ruch w okolicy. Po dolinie uwijali się strażnicy i żandarmi; oni także wpadli do lasu Mathiskopf.

Zaczęła się ucieczka.

Nie schwytano zbiegów, ale ich dostrzeżono: przez kil-

ka godzin przekradli się z jednej gęstwiny w drugą, nie mogąc dotrzeć do granicy, bo wtedy musieliby przejść przez odkrytą dolinę. Udało im się zniknąć z oczu straży dzięki pomysłowi pana Ulrycha, który razem z Janem wdrapał się na stos chróstu i wśliznął w szparę znajdującą się między dwoma stosami. Żandarmi oddalili się w kierunku Glacimont.

Jan zasnął i noc zapadła. Wiatr, gromadząc chmury, przyśpieszał zmrok. Ocierając się o szczyty jodeł, przeleciało stado kruków. Szum ich skrzydeł wyrwał z zadumy pana Ulrycha; wpatrywał się dotąd w swego siostrzeńca, ubranego w mundur niemiecki i uśpionego w ucieczce z ziemi alzackiej. Wstał i ostrożnie wspiął się na szczyt chróścianego wału.

— Wuju Ulrychu — zapytał przebudzony ochotnik — co widzisz?

— Ani jednego żandarma, ani jednego strażnika — szepnął wuj. — Zdaje się, że ślad nasz stracili. Ale z nimi niczego pewnym być nie można.

— A dolina Minieres?

— Pusta, zdaje mi się. Puste drogi i łąki około wioski. Leśnik także, zdaje się, wrócił do domu i obiaduje, bo dym z jego komina wychodzi.

— Silny jesteś, Janie?

— Jeśli nas ścigać będą, przekonasz się o tem, wuju.

— Nie będą zapewne. Ale czas nadszedł, moje dziecko.

Przez chwilę udawał, że nadsłuchuje, a potem mówił:

— Wstań, ułożymy plan kampanii...

A gdy głowa Jana wynurzyła się z chróstu i oparła o jego ramię — dodał, zwrócony w stronę zachodu:

— Widzisz tam na dole wioskę Minieres?

— Widzę.

— Pomimo nocy i mgły, możesz dostrzedrz, że górę po drugiej stronie pokrywają w połowie buki, w połowie jodły.

— Domyślałem się tego.

— Wychodząc ztąd, okrążymy półkolem ogrody i łąki wsi Minieres, a gdy staniemy tam, wprost naszych stosów, zejdziesz o dwieście metrów niżej i już będziesz we Francyi...

Jan nic nie odpowiedział.

— To miejsce zbadałem dla ciebie dokładnie, uważaj dobrze; tam około Raon sur Plaine Niemcy sobie zostawili lasy, a Francyi nagą ziemię. Otóż na drugim stoku wprost naszego schronienia leży klinem wcięte pole francuzkie... Widziałem tam nawet budynki opuszczonego folwarku, jakąś pozostałość z czasów wojny, przypuszczam... Pójdę pierwszy.

— Nie, ja pójdę, wuju!

— Bądź spokojny, z każdej strony grozi równe niebezpieczeństwo... a lepiej będzie, jeżeli pójdziesz za mojem przewodnictwem. Pójdę naprzód, unikając ścieżek i doprowadzę cię ostrożnie aż do miejsca naszego rozstania; tam przetniesz cwałem drogę, potem parę metrów zarośli, a za niemi staniesz już na francuzkiej trawie...

Pan Ulrych uściskał Jana. Pożegnania nie przedłużał, bo lękał się dla siebie rozczulenia w chwili, w której należało zachować całą zimną krew, całą przytomność umysłu.

— Chodź — wyrzekł.

Wsunęli się w cienie wielkich drzew, które tu już rosły. Na drodze jeżyły się przeszkody; kamienie mchem obrosłe, pnie obalone, zgniłe gałęzie wyciągnięte, jak szpony w ciemności.

Pan Ulrych stawał co chwila i nasłuchiwał. Odwracał się też często, aby dojrzeć wysoką sylwetkę Jana, którego twarzy już nie rozróżniał. Jan odzywał się od czasu do czasu:

— Pogłupieją z pewnością, nieprawdaż wuju ?

— Cicho bądź, Janku, jeszcze nie jesteśmy ocaleni.

Zeszli aż do granicy łąk wsi Minieres i szli znów w górę po ostatnich wyżynach Wogezów, nie opuszczając jednak lasu.

Kiedy pan Ulrych stanął na ostatnim szczycie, zatrzymał się i wciągając w siebie podmuch swobodniejszego wiatru, bo drzewa tu już były młodsze, rzekł cicho pomimo, że słowa mogły jeszcze sprowadzić nowe niebezpieczeństwo.

— Janie, czujesz zapach ściernisk francuzkich?

Przed nimi rozciągała się płaszczyzna, ale dojrzeć jej nie mogli. Zaledwie widniały cienie nieruchome, lasy na zboczu, a nad niemi cienie ruchome, chmury na niebie..

Zaczęli schodzić z większą jeszcze bacznością, słuch natężając.

Sowa zerwała się z drzewa. Teraz trzeba było przejść przez krzaki ciernistе, czepiające się ubrania. Nagle przed nimi zabrzmiał głos w gęstwinie:

— *Halt!*

Pan Ulrych przysiadł, kładąc rękę na ramieniu Jana i rzekł szybko:

— Nie ruszaj się. Ja ich ściągnę w stronę Minieres. Gdy pójdą za mną, wstań i leć przez drogę, potem przez krzaki, prosto przed siebie, żegnaj!

Głos zbliżał się, wołając *Halt! Halt!*

Wystrzał zaświecił w nocy. Gdy huk ustał, rozległ się głos pana Ulrycha, który zdala już odpowiadał.

— Pudło!

Jednocześnie Jan Oberle rzucił się ku granicy. Z pochyloną głową, z odstającemi łokciami, z piersią smaganą gałęziami, biegł na oślep co sił. Przeleciał zapewne blizko zaczajonego człowieka.

Poruszyły się liście. Ktoś gwizdnął, a Jan jeszcze szybciej popędził. Wpadł na drogę. Natychmiast rozległ się drugi wystrzał i Jan upadł w zarośla. Rozległy się okrzyki:

— Jest! Jest! Bywajcie!

Jan zerwał się natychmiast, sądził, że się potknął o jakąś gałąź. Wskoczył w krzaki. Ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Z rozpaczą czuł wzrastające osłabienie.

Za jego plecami rozległy się krzyki goniących. Drzewa wirowały wokoło niego. Wreszcie ogarnęło go wrażenie światła, wolnej przestrzeni, chłodnego powiewu, a potem nic już nie czuł.

Późną nocą obudził się z zemdlenia. Burza wstrząsała lasem. Spoczywał na zielonych gałęziach, w jakiejś izbie folwarczej bez mebli, oświetlonej latarką. Jakiś człowiek pochylał się nad nim. Jan poznał po ubiorze francuzkiego strażnika. Pierwsze wrażenie strachu minęło. Strażnik miał twarz sympatyczną, wąsy sumiaste

— Czy strzelano jeszcze? — zapytał.

Człowiek odparł:

— Nie.

— Tem lepiej, wuj Ulrych uratowany... towarzyszył mi do samej granicy... widzisz pan, byłem w wojsku... przyszedłem tu, bo chcę służyć Francyi.

Spostrzegł, że zdjęto z niego kurtkę i że krew ma na koszuli... oddycha ciężko.

— Co mnie jest?

Strażnik z trudnością łzy powstrzymywał.

— Przestrzelili ci ramię, mój panie — mówił — ale to przejdzie... Całe szczęście, że obchodziliśmy właśnie granicę, kiedy upadłeś na łąkę... Mój towarzysz poszedł po doktora... Wróci, zanim dzień zaświta... Nie martw się... Kim pan jesteś?

Jan Oberle w pół śnie odpowiedział:

— Alzacyą...

Zaledwie może mówić. Burzliwy deszcz siecze dachy, drzewa, liście, skały, cały las wokoło. Skręcone korony drzew padają niby wielkie wodorosty w głąb morza.

Olbrzymi szum, z miliona złączonych głosów płynący, idzie wzdłuż Wogezów i rozbrzmiewa wśród nocy.

Ranny słucha. Co z tego szumu wyrozumiał? Słaby jest i uśmiecha się tylko.

— Francya śpiewa! — szepnął.

I z zamkniętemi oczami padł na posłanie, oczekując świtu.

KONIEC.